Nr. 30. Poznań, Niedziela 21go Października 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II f. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

W sprawie regulaminu wyborczego.

Uważać formy życia politycznego za skamieniałe dogmaty, których nikomu naginać i kształtować nie wolno, byłoby równym nonsensem, jak osłaniać ciało suknią chłopięcą, choć członki nasze rozrosły się i zmężniały, lub więzić żywotne szczepy dębowe w ciasnej donicy. Młoda roślinka w drzewo się rozwinie i rozsadzi krępujące ściany.

Podobnie, jak przepisy administracyjne i paragrafy prawa w biegu lat różnym ulegają zmianom, asymilując się do każdorazowej ewolucyi stosunków, tak też ustawy i zwyczaje życia politycznego zmieniać się muszą według wymagań chwili i narodowego rozwoju. To, co się przeżyło, wśród żywych nie ma już miejsca, a wszelkie gwałtowne wtłaczanie w stare ramy nowych stosunków musi prędzej czy później zakończyć się katastrofą. Tej prawdy nie zaprzeczy nikt. Uczy jej historya i fizyonomia życia bieżącego, a dla nas ostatni okres walk politycznych jest charakterystycznym drogoskazem w tym względzie.

Wyborczą działalność naszą ujęto w roku 1888 w przepisy regulaminowe i wskazówki praktyczne, które niegdyś wystarczały nam zupełnie. Stosunki wonczas były proste, indywidualizm polityczny mniej jaskrawy, masy ludu potulne i pozbawione samoistnego myślenia. Paragrafy i zwyczaje ówczesne zastosowano do charakteru chwili i nikt nie miał powodu skarzyć się na ich połowiczność lub błędność. Zadawalniały nas one jednak tylko tak długo, dopóki opierały się na fundamencie, z którego wyrosły. Dziś inny fundament, inni ludzie, inne prądy, a zatem dawne paragrafy wystarczyć nam już nie mogą.

Myśl reformy obowiązującego nas dotychczas regulaminu wyborczego oraz instrukcyi dla komitetów powiatowych nie jest bynajmniej nową. Rzucono ją kilkakrotnie na posiedzeniach komitetu prowincyonalnego, poruszano w dziennikach nie przywiązanych ślepo do skostniałego konserwatyzmu, powtarzano wreszcie uporczywie na zebraniach przedwyborczych w Księstwie i Prusach Zachodnich. Najsilniej jednak objawiła się dążność reformacyjna w czasach pamiętnej burzy poznańskiej, której echo dziś jeszcze rozbrzmiewa w organach wszystkich obozów.

Po zapomnianych już bojach ultramontanów i narodowców, oraz zagłuszającej swary domowe Bismarckowskiej kampanii, nastało w społeczeństwie naszem życie bez wyrazistszych barw i sztandarów, nastała cisza bez gromów i wstrząśnień. Agitacya stronnicza zamilkła pod naciskiem praw wyjątkowych, które, jak dzikie zwierzęta szarpać nas poczęły, a zebrania polityczne ujawniały oblicze pogodne, nie zachmurzone wysiłkiem dążeń partyjnych. Niebawem jednak zmieniła się fizyonomia społeczna. Uśpione różnice polityczne budzić się poczęły do energicznego działania, żywioły demokratyczne wyzwoliły się z karbów długoletniej subordynacyi, powaga polityczna obywatelstwa wiejskiego bankrutowała wraz z materyalnym rozkładem ziemiaństwa, dyplomacya kół naszych poselskich rzuciła w szerokie warstwy ludowe ferment eksplodujący, miasta coraz zuchwalej wyciągały rękę po ster spraw narodowych, — jednem słowem jakiś elementarny ruch ewolucyjny dojrzewał, rósł i potężniał. W takich warunkach regulamin wyborczy musiał się zestarzeć. Autorzy jego nie pomyśleli o ewentualności dążeń emancypacyjnych, a solidarność narodową identyfikowali z bezwzględnem posłuszeństwem naszych „młodszych braci“. Nie przypuszczali oni, że nadawanie tonu politycznego przez komitety może z czasem tak sytuacyą naprężyć, że obręcze regulaminu pękną pod naciskiem i dla tego wyposażyli własną korporacyą i komitety powiatowe w mniej lub więcej wyraźne Imperatywy politycznej sugestyi, zamiast przyznać im jedynie charakter rozjemczy i administracyjny. Nie wyszczególniając na razie tych wszystkich ustaw i przepisów, które ze względu na obecne położenie polityczne uznać należy za błędne, przypominamy jedynie § 16 regulaminu, — paragraf w teraźniejszych warunkach niebezpieczny. Mówi on między innemi, że „komitetowi przysługuje prawo przedstawienia walnemu zebraniu powiatowemu kandydatów do krzesła poselskiego“, a tem samem uprawnia władzę wyborczą do zamanifestowania pewnego kierunku politycznego i wyzyskiwania swojej powagi dla interesów własnego stronnictwa. Tam, gdzie zebrania przedwyborcze zwołuje jedno stronnictwo, a uczestnicy zebrania są wyznawcami jednego kierunku politycznego, przedstawianie kandydatów przez władze komitetowe, jest uzasadnione, a nawet pożądane. Tu bowiem między wyborcami a komitetem panuje jednolitość przekonań, a kwestyę sporną stanowić mogą co najwyżej kwalifikacye osobiste kandydatów, które władzom ad hoc wybranym łatwiej rozstrzygnąć niż zwykłym wyborcom. U nas inaczej. Polskie zebrania przedwyborcze to walka kilku stronnictw politycznych, które czekają na sprawiedliwy wyrok komitetu, aby następnie w imię solidarności narodowej podporządkować własne sztandary sztandarom zwycięzcy. Tu zatem komitet unikać powinien wszystkiego, co tylko narazić go może na zarzut stronniczości, a zarzut taki z natury rzeczy zjawić się musi, jeżeli władze wyborcze wysuną własną listę kandydatów. Komitety wtedy jedynie liczyć mogą na zaufanie i posłuszeństwo wszystkich stronnictw, jeżeli nie zdradzą żadnych aspiracyi stronniczych — w przeciwnym razie rozbijanie zebrań i zrywanie solidarności zamienić się może łatwo w chroniczną chorobę.

Również ostatni ustęp paragrafu 16, opiewający, „że komitetowi przysługuje prawo przybierania sobie do pomocy dowolnej liczby członków“ nasuwa wobec dzisiejszych stosunków poważne wątpliwości. Uczy nas doświadczenie, że frekwencya posiedzeń komitetowych jest bardzo nierówna, a zatem zdarzyć się może łatwo, że kooptacya opartą będzie na przypadkowej większości głosów w komitecie i nieodpowie rzeczywistej większości ani władzy wyborczej, ani wyborców samych. Zmieniając na mocy kooptacyi fizyonomią swoją, roztacza komitet w około atmosferę nieufności, a tem samem traci na powadze wobec wyborców. Nie mamy potrzeby uzasadniać teoretycznie fatalnych wpływów władzy bez zaufania i powagi, — przypominamy tylko niedawną kampanią. Komitet był urągowiskiem, zebrania hecą prawdziwą. Oczywiście przyczyniła się do irytacyi i naprężenia tradycyjna forma obliczania głosów przez „itio in partes“. Dyferencye liczbowe były tak niewielkie, tłok na sali tak znaczny, że werdykt sędziów, rozstrzygający o zwycięztwie tego lub owego stronnictwa, musiał z natury rzeczy budzić wątpliwości pewne. Nie posądzamy ławników zebrań pamiętnych o złą wolę, nie posądzamy ich ani na chwilę o fałsz świadomy, popełniony w interesie stronniczym, ale zwracamy uwagę na sceptyczne opinie, które w takich warunkach pojawiać się muszą. Znamy poważnego obywatela z najwyższej inteligencyi, który po słynnej kampanii Bazarowej oświadczył, że nie byłby nigdy odważył się rozstrzygnąć werdyktem stanowczym o większości ówczesnej.

I tu zatem reforma jest nieodzownym wa-

runkiem naprawy stosunków naszych. Wiązankę tych obserwacyi poddajemy światłej rozwadze władz komitetowych z zamiarem służenia i nadal uczciwą radą, podyktowaną jedynie interesem narodowym.

BADANIA NAUKOWE.

Nowe leczenie dyfterytu.

We wrześniu r. b. zakomunikował *dr. Roux* z Paryża w imieniu instytutu Pasteura, że na mocy licznych doświadczeń odkryto nową metodę szczepienia dyfterytu, która nader pomyślne wydała rezultaty. Niebawem wieść ta rozeszła się po całej Europie i wszystkie powagi lekarskie zainteresowały się odkryciem, polegającem na wstrzykiwaniu surowicy krwi końskiej osobom nawiedzonym krupem lub dyfterytem. Nowa metoda miała zabezpieczać od krupu i powstrzymywać jego rozwój u osobników już nim dotkniętych. Dziś w wszystkich nieomal klinikach francuzkich i niemieckich poczyniono próby z środkiem zalecanym przez dr. Roux, a rezultaty są podobno wręcz zdumiewające.*) „Figaro“ paryzki otworzył składki na budowę wielkiego laboratoryum w celu przygotowania wielkich zapasów surowicy, a w przeciągu 16 dni zebrano przeszło 200,000 franków. Nauczeni smutną historyą „Kochiny“ nie przesądzamy cudowności nowego środka, ale sądzimy, że czytelników naszych zainteresują interwiewy, które w sprawie tej podaje „Echo de Paris“. Oto co powiedziano redaktorowi tego dziennika w szpitalach, w których już leczono krup i dyfteryt podług nowej metody:

W szpitalu „Des Enfants Malades“

W lutym r. b. dr. Roux poraz pierwszy zastosował tutaj swój wynalazek. Doświadczenia wszakże odbywały się tylko wobec przypuszczonych do tajemnicy lekarzy, chciano bowiem utrzymać wynalazek w sekrecie aż do kongresu medycznego w Budapeszcie. Dyrektor szpitala „Des Enfants Malades“, dr. Mongin oświadczył: „Przeciętna cyfra umierających na dyfteryt była dotychczas 16—75 proc., stosownie do wieku, od noworodków do lat piętnastu. Od początku września leczymy metodą dr. Roux. Otóż na 60 przyjętych do szpitala dzieci dotkniętych dyfterytem (od 1 do 25 września) zmarło tylko 7. Zaznaczam przytem i to zaznaczam z naciskiem, iż owe siedem dzieci zmarło z chorób postronnie od dyfterytu rozwiniętych. Jednem słowem mogę oświadczyć, iż w przeciągu września wszystkie dzieci dotknięte dyfterytem zostały uratowane od śmierci. Dr. Roux codziennie odwiedza nasz szpital; rzadko bowiem daje się wyręczyć, chcąc zbierać własne spostrzeżenia. Szprycka przez niego używana do zastrzykiwań jest jego pomysłu; jest nieco większą od szprycki Pravaza. Ukłucia dokonywa w pachwinie, a podlegające temu dzieci prawie żadnego nie doznają bólu. Po dwudziestu czterech godzinach (i to co najwyżej), chore dziecko traci gorączkę, a w dzień później — charakterystyczne dyfteryczne błonki znikają w krtani, dziecko oddycha swobodnie i szybko wraca do zdrowia.“

W szpitalu „Trousseau“.

Tutaj zaledwie od dni kilku dyfteryczne dzieci podlegają leczeniu nową metodą. Dr. Roux opierał się stosowaniu swej metody, niezupełnie będąc jeszcze pewnym rezultatów. Zniewolony naleganiami uległ i rezultaty okazują się w szpitalu „Trousseau“ równie zadawalniające jak w szpitalu „Des Enfants Malades“. „Skutki zastosowania metody dr. Roux są wprost cudowne — powiada dr. Valet, zastępca dyrektora; — mieliśmy codziennie kilka wypadków śmierci, z chwilą zaś wprowadzenia nowej metody, nie zmarło ani jedno dziecko dotknięte dyfterytem. Przed trzema miesiącami córeczka moja umarła na krup, a dzisiaj widzę, jak wszystkie dzieci dotknięte tą chorobą, powstają z niej uleczone...“

U prof. med., dra Dieulafoy.

Ze względu na stanowisko, zajmowane w świecie naukowym, zdanie dr. Dieulafoy jest wielkiej doniosłości. „Oświadczam bez wahania, iż wynalazek dra Roux uważam za doskonały i godny największego uwielbienia, tak co do samej metody jak i jej rezultatów. Jest to najświetniejszy objaw ewolucyjny nieśmiertelnych teoryi Pasteura, które stanowią grunt do coraz dalszego rozwoju zdobyczy na tem polu. Że dyfteryt został pokonany przez zastosowanie metody dra Roux wiedziałem również, jak wielu moich kolegów, przed kongresem w Budapeszcie; próba tej metody zastosowana w szpitalach, przekonała nas skutecznością swoją. Nie umiem wypowiedzieć, do jakiego stopnia jestem zachwycony pewnością metody, z jaką dr. Roux przystępował do zamierzonego celu. Ileż usilnej pracy zużył on, by odkryć toksynę, czyli wydzieliny mikrobów dyfterycznych! Dr. Roux prowadził swe prace samodzielnie, jakkolwiek pamiętać należy, iż pracy tego rodzaju oddawał się znakomity niemiecki uczony dr. Behring. Po odkryciu toksyny dr. Roux nowe począł czynić wysiłki i odkrył antitoksynę, t. j. zbadawszy naturę trucizny, znalazł na nią radykalny środek leczniczy. Odkryciem swojem dr. Roux stanął w pobliżu wielkiego swego mistrza, Pasteura.“

U dr. Hucharda.

„Co myślę o wynalazku dra Roux?... Zdanie moje będzie tem bezstronniejsze, że jestem lekarzem a nie bakteryologiem, co ma swoje znaczenie. Znam głębokość wiedzy, chłodny rozum i skromność dra Roux; otóż ręczyć mogę w całem znaczeniu tego wyrazu, iż człowiek tak wyjątkowej nauki i uczciwości, jak on, nigdyby się nie zdecydował zawiadomić o uczynionem przez siebie odkryciu, gdyby nie był zupełnie pewnym swego twierdzenia. Mam najgłębsze przekonanie, iż przyszłość medycyny spoczywa jedynie w bakteryologii. Z tej zasady utworzy się nowa i jedyna terapeutyka, do czego przyczyni się wynalazek dr. Roux. Tak, z najwyższem uwielbieniem zaznaczam, iż medycyna, wczoraj jeszcze bezsilna wobec dyfterytu, dziś zdolną jest nietylko nim zawładnąć, lecz bezpowrotnie go wytępić. Obecnie jest to tylko kwestya pieniędzy. Dla otrzymania bowiem antidyfterycznej surowicy, t. j. krwi z konia zaszczepionego, trzeba znaczniejszego nakładu, niż owe 40,000 franków, które wpływają za pośrednictwem prasy. Starczą one na pierwszą chwilę, lecz zważywszy na ilość zapotrzebowań, których świat cały żądać będzie od instytutu Pasteura, potrzeba kroci! A z taką łatwością mogliby ich dostarczyć ci lekkomyślni marnotrawcy, bawiący się w ohydną igraszkę bezsensownego przelewania krwi byków czy krów w urządzanych w tym celu cyrkach!“

U prof. med. dra Germain Sée.

Entuzyazm nie jest bynajmniej właściwością charakteru tego potentata świata medycznego. Tyle widział on już w życiu, iż stał się niesłychanie ostrożnym w wydawaniu opinii, zwłaszcza o rzeczy przez siebie niedostatecznie zba

*) W Poznaniu próby te prowadzą: dr. Drobnik, dr. Szuman, dr. Grodzki i dr. Pauli.

---

14)

MOGIŁA.

LISTY I NOTATKI MAURYCEGO ZYCHA.

(Ciąg dalszy.)

Wówczas we wsi, liczącej przeszło półtorasta osad naczelnik zebrał mężczyzn na pole i otoczonych wojskiem kazał wobec innych rozciągnąć obnażonych po kilkunastu na ziemi i, dodawszy do każdego po dwu kozaków, ćwiczył dotąd, póki nie wymógł podpisu na przyjęcie galicyjanina. Niektórym dostało sie więcej niż po 200 nahajek. Takie egzekucye praktykowały się w kilku miejscowościach. W Choroszczyźnie.,.

Słuchałem uważnie tej historyi, oparty o ścianę. Nie jestem chłopomanem, nie rozczulają mnie przepocone magiery, ani zabłocone buty,... Ale pomyśleć tylko... Jakaś czcigodna ręka przelała na papier to żałosne opowiadanie, ten gorzki ból, tę pohańbioną myśl garsteczki ludzi, którzy w niesłychanym ucisku, wśród pokusy, w stadzie nędzników i głupców ufają aż do śmierci, że przysiędze, jakiejś cnocie czy prawdzie należy wiary dochować. Tę myśl składał przy blasku płomyka gazu wyzyskiwany zecer, przenosił ją jako zabroniony towar jakiś szlachetny mistyk, jakiś nieznany a na śmierć gotowy wyznawca swojej idei. I przyszła na miejsce przeznaczenia, tam, gdzie chciało marzenie prawych i „in tenebris lux lucet“...

Właśnie, (wciąż stojąc pod okienkiem), przychodziłem do tak melancholijnych refleksyi, gdy nagle stała się rzecz, krótko mówiąc, straszna i niesłychana. Jak piorun z nieba zleciały na mój kark, ramiona, żebra, biodra, plecy i kołnierz, niewidzialne barbarzyńskie kułaki, schwyciły mię w różnych miejscach, jak obcęgi, wywinęły mną w powietrzu, niby szczotką do czyszczenia butów i w ciągu nadzwyczaj krótkiego przeciągu czasu wniosły mię do izby. Cały ten proces wybuchnął i odbył się tak szybko, że zaledwie zdążyłem zamknąć oczy i pomyśleć:

— Aha — nadeszła chwila! Trzeba będzie, zdaje się, trzasnąć kopytami i wyzionąć ducha w ofierze „za szybkie, pomyślne i zupełne zrusyfikowanie tego kraju“...

Otworzywszy oczy, ochłonąłem cokolwiek. Otaczała mię wprawdzie grupa parobków z groźnemi minami i pięściami, wymownie ulokowanemi na moim karku, ale nie miała zamiaru odbierać mi życia bez sądu i natychmiast. Poprostu te chamy stały i patrzyły na mnie — — no i ja również stałem i patrzyłem na nich.

Koniec końców rzekłem pierwszy:

— Dobry wieczór, chłopcy! Cóżeście mię wnieśli do izby tak ostrożnie, jak koszyk z jajami?

— My takie jaja, co pod *okna my* łażą i podpatrują nieraz tłuczemy *teeż!* — zaśpiewał jeden z gromadki, mrugając ku mnie lewem okiem bez cienia uczuć przyjaznych.

— Przez szyby to tylko złodziej może zaglądać, a ze złodziejem to jest krótka sprawa, — rzekł drugi, patrząc obojętnie na koniec mojego nosa.

— Jeszcze *bałwan* po polsku będzie mówił — widziałeś?.... mruknął ktoś z kąta.

Tymczasem ten, co mię najsilniej, o ile sobie mogę przypomnieć, trzymał w objęciach nieznacznie przysunął się do łoża starca i rzekł do niego półgłosem:

— Piechotny... *jąkier...*

Stary chłop wyjął skądś grubą księgę, podobną do mszału, rozłożył ją nabożnie i zaczął czytać:

— „Boże, wszystkich wiernych Pasterzu i Rządco, wejrzyj dobrotliwie na wszystkie stany państwa ruskiego“, (to *ruskiego* wymówił z ogromnym naciskiem), „i królestwa polskiego i łaski im swojej miłościwie udzielaj, aby wszyscy we wszystkiem ku dobru powszechnemu zmierzali i z drogi prawdy Twojej nie zbaczali...“

danej i wypróbowanej. Z tego, co wie o metodzie dr. Roux, przyznaje mu zasługę, zastrzegając wszakże, iż sława, jaką może zdobyć, należy się, jeźli nie w równej mierze, to w znacznej części niemieckiemu uczonemu, dr. Behringowi, oraz kilku innym specyalistom tak francuzkim jak niemieckim, a nawet japończykowi Kitassato. Wszyscy ci uczeni, niewyłączając dr. Roux, zawdzięczają możność swych badań nad dyfterytem i krupem uczonemu niemieckiemu, Loefflerowi, który w r. 1883 odkrył i opisał zarazki tych chorób; Loeffler zaś miał poprzedników na tem polu, z których najwybitniejszymi są dwaj niemcy: Klebs i Aertel. W każdym razie wiadomo jest powszechnie pomiędzy lekarzami, iż dr. Roux, od lat blizko ośmiu zajmujący się dyfterytem i krupem, jest najznakomitszym specyalistą tych chorób, jeżeli więc ochronne ich szczepienie nie jest marzeniem i niedościgłą utopią, to wierzę, iż nie kto inny, tylko dr. Roux urzeczywistnić ją może."

Mizoneizm.

Umysł ludzki jest tego rodzaju, że skoro tylko jakiś wynalazek, jakiś pogląd nowy, pchnąć ma świat na nowe tory — wówczas ten biedny umysł póty się wytęża i męczy, póki nie przedstawi sobie rzeczy samej w jak najciemniejszych kolorach — a jej wynazców jako wrogów nieprzejednanych — ludzi dzikich, co z głębi serca nienawidzą tych wszystkich, którzy śmią stawiać pewne wątpliwości.

Zdanie to współczesnego uczonego i filozofa francuzkiego jest pewnikiem, stwierdzonym licznemi przykładami i własnem doświadczeniem. — Rozpatrując się bowiem w dziejach reform i wynalazków, widzimy z jaką siłą zwalczać musiał geniusz jednego człowieka siłę opozycyjną i przesądy opinii publicznej. Z uśmiechem politowania czyta się protest bawarskich lekarzy, zaniesiony przeciw pierwszym usiłowaniom zaprowadzenia kolei żelaznych w Niemczech. „Podróże w wagonach, pchanych siłą pary, tak brzmi ów protest, winny być wzbronione w interesie bezpieczeństwa publicznego, gdyż wstrząśnienie zbyt gwałtowne może przyprawić podróżników o delirium furiosum. Nawet rzut oka na lokomotywę w rozpędzie — wywołać może podobne wstrząśnienie mózgowe". Dziś śmiejemy się z tych uwidzień, śmiejemy się z przesądów przodków naszych, bo zrośli z tradycyą odpychali w pobożnem uniesieniu wszelkie, choćby najzbawienniejsze reformy, dla tego tylko, że one sprzeciwały się właśnie tej tradycyi. Ale czyż dzisiaj jest inaczej? Z końcem dziewiętnastego stulecia — otrzaskaliśmy się wprawdzie z wynalazkami — ale czyż żywimy przyjazne uczucia dla apostołów nowych idei?

W naszem mniemaniu — to zawsze będą wichrzyciele i szaleńcy, których jakimbądź sposobem zmiażdżyć trzeba, byleby tylko nie zakłócali błogiego i wygodnego nam spokoju.

Czemże się więc da wytłumaczyć ta niechęć opinii publicznej do wszelkich reform? Otóż problemat ten rozstrzygnęli włoscy uczeni, szkoły Lombrosa. Zauważyli oni, że dusza ludzka miłuje się w tradycyi i nawyknieniach — i z tego to powodu odrzuca wszelkie nowości.

Zamiłowanie to, ochrzcili mianem składającem się z dwóch słów greckich „Mizoneizm" — czyli „wstręt do nowości". Cały świat zapełniony jest mizoneistami. Są to ludzie, co po części w dobrej wierze trzymają się poglądów, odziedziczonych po przodkach — ludzie z całą energią odpychający wszelkie zmiany, dla tego tylko, że one sprzeciwiają się ich nawyknieniom.

Nie zgłębiają oni prawdy i słuszności nowych poglądów, ale odrzucają je natychmiast z obawy, aby im nie zamąciły spokoju. Jeżeli fakt jakiś zaskoczy ich niespodzianie, jak, dajmy na to, kolej żelażna, bicykl i t. p. wynalazki, a faktowi temu zaprzeczyć niepodobna, ponieważ rzeczywistość stała się uwidocznioną i namacalną — wtedy rodzi się w nich chęć nieprzeparta wyszukiwania wszystkich złych stron i skutków, jakie za sobą wynalazek pociągnąć może. — Gdyby na świecie istniały tylko podobne umysły, ludzkość składałaby się z samych zacofańców, z tych szaleńców,, co biorą w głębokim obłędzie widnokrąg własnych oczu za świata krawędzie". W takim razie wszelki postęp byłby wykluczony.

Ale psychologowie włoscy zauważyli także, że istnieją równocześnie umysły otwarte, które dokładnie zaznaczają pewną dążność postępową i zrywają łatwo z przeszłością, aby wejść na nowe tory w ślady za wynalazcą. — Tworzą oni rodzaj straży przedniej — za którą postępuje orszak snobów i ciągle powiększająca się liczba wierzących.

Zapewne — czasami dozwolonem jest być mizoneistą, gdyż bywają nowości śmieszne i niedorzeczne, ale mizoneizm bez pobłażliwości, mizoneizm zaślepiony w zamiłowaniu do starych zwyczajów i poglądów, mizoneizm potępiający z góry czyny i zapatrywania nowatorów jest oznaką miernoty umysłowej i małoduszności.

Czyż bowiem inaczej określić można prześladowanie zwiastunów nowych idei i ślepe przywiązanie do przestarzałych poglądów, dla tego tylko, że one stały się naszem nawyknieniem, z którem nam wygodnie?!

H. S.

LITERATURA I SZTUKA.

LEŚNE SZUMKI

Tuż nad wodą kwiatki rosną,
Jeden z drugim gwarzy,
Każdy z nich się cieszy wiosną,
O swem szczęściu marzy;
Woń nad kwiatów tych kobierce
Tak się wznosi mile,
Czyliż tobie, — biedne serce,
Wrócą szczęścia chwile?

Pełne słońca drzew korony,
Dzień już ledwie dyszy,
Każdy kwiatek już stulony,
Strumyk szemrze ciszej —
Na gałązkach pośród liści
Ptaszki cicho nucą . . . .
Och! . . . Marzenie, czyż się ziści?
Dawne sny czy wrócą?

Światłem bladem już się mieni
Błędny ognik w jarze,
Zimne światło bez płomieni
Znika gdzieś w oparze.
Na gałązce mchu zawiśnie,
Zadrży przy kalinie . . . .
Chwilka szczęścia ledwie błyśnie,
Już i zaraz minie!

Noc na ziemię już opadła,
Mrok panuje szary,
Widzę pośród drzew widziadła
Jakieś cienie . . . mary —
A na niebie gwiazdka drżąca

Zauważyłem, że czyta zupełnie inaczej. Poprzednio z nielegalną broszurą było mu daleko poręczniej, wysławiał się doskonale po polsku, najtrudniejsze wyrazy wypowiadał płynnie i czysto. Później, wodząc palcem po tej książce do nabożeństwa, udawał głupiego, sylabizował mozolnie, bąkał, stękał, umyślnie przekręcał zwyczajne słowa.

— My sobie tu czytamy takie modlitwy, panie żołnierzu, — rzekł do mnie z dobrodusznym uśmiechem.

— A widzę...

— Skądeście też, panie żołnierzu?

— Jestem z Wieprzowodów. Chodziłem po dworach z pytaniem, czy gdzie nie wezmą sołdatów do żniwa.

— Z Wieprzowodów? — powtórzył pytająco starowina.

— Ehe. Jestem Polak. Z musu odsługuję wojskowość. Szedłem drogą tamtędy od lasu, usłyszałem szczekanie psów i zboczyłem tu do was, bo mi bardzo się pić chciało. Dajcież mi złaski swojej półkwarcie wody, napiję się i pójdę dalej, a wy czytajcie sobie z Bogiem tamtę książeczkę. Nie macie się czego obawiać, ja was nie zdradzę

— Jakąże to niby książeczkę? — zapytał stary lis, przybierając minę jeszcze głupszą.

— Tamtę o Gubaniewie i Kutaninie.,

— Tak jakoś gadacie, panie żołnierz, że nic nie mogę zrozumieć. Czegóż wy od nas chcecie? Słyszyta, przecie chłopcy, że ciągiem plecie: czytajcie książeczkę...

— A cóż nie mamy słyszeć? Słyszymy! — odpowiedzieli chórem.

Usiadłem na ławce pod oknem i zamilkłem.

Okropną rzecz rozsiali pośród nas ci moskale: między jednym a drugim człowiekiem nastawiony jest, dzięki im, puginał zdrady, nieufności i podłej trwogi, w oczach siedzi trucizna podejrzenia, a cała nasza mowa stała się wyrazem jednego uczucia: obłudy. Czemże mogłem udowodnić tym ludziom, że nie jestem szpiegiem? Czy jest na ziemi i niebie taka świętość, którejby ci wrogowie w ich oczach nie zdeptali nogami, albo nie uczynili przedmiotem handlu? A czyż mogłem odejść ztamtąd przerwawszy im czytanie świętej historyi i zostawiając po sobie wspomnienie wroga? Chwyciła mię za gardło taka zażarta mściwość, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczyłem w życiu. Zacząłem rozpowiadać o wszystkiem, com wiedział, a więc: o unii, o prześladowaniach, krzywoprzysięstwach, wylanej krwi, o tem, jak być powinno...

Kiedy zacząłem mówić o tem, jak być powinno, oni wspomnieli... o Polsce.

Co to jest Polska? Grupa etniczna, respublika demokratyczna, rozwój przemysłu... Tak, tak... Stał człowiek na przyzwoitem stanowisku klasowem, a teraz zacznie brać w rachubę wyobrażenia i mgliste przeczucia bezklasowych chłopów... No! — ale słyszałem przecie na własne uszy wyrazy tych marzeń, tych tęsknych przeczuć i — do cholery! — łzy mię duszą.....

Musiałem gadać przekonywająco, skoro mi tacy ostrożni ludzie zaufali. Nie odrazu się to jednak stało. Stary najdłużej trzymał się nieufnie. Wpatrywał się we mnie wzrokiem bezczelnie badawczym, coś żuł, mruczał pod nosem, ciągle wspominał o pańszczyźnie i o darowaniu, wówczas nawet, kiedy młodsi już mię przyjaźnie rozpytywali. Nareszcie zmiękł i on.

— Tak to tak... — zamruczał. Nie co innego se myślał i ten... Kościuszek. Znacie go?

Zasłaniając sobie usta jedną ręką, drugą wskazał na obrazek, wiszący nad łóżkiem w ciemnym kącie między świętemi bohomazami.

Z każdej zmarszczki pergaminowej twarzy dziada śmiał się figiel, a w oczach świecił jasny, przenikliwy rozum.

— My se ta sukmaniarze jesteśmy, a przecie swoją rzecz wiemy. Jużci jakby on był za dziesiątą granicę *toto* wygnał, toby teraz batami ludzi nie rżnęli.

Zacząłem się żegnać z temi ludźmi i poprosiłem, aby mi dali kogoś, coby mi wskazał drogę do Wieprzowodów. Starzec zaczął wołać na wnuczka, drzemiącego na skrzynce przy łóżku:

— Pietruś! słyszysz, Pietruś!

Tak cudownie świeci . . . . .
Duch jak orzeł w stronę słońca,
Czyliż kiedy wzleci?! —
Czar . . .

Książka St. Koźmiana o 1863 r.

(Ciąg dalszy).

Hotel Lambert polecił p. Koźmianowi, aby udał się do Langiewicza, przedłożył mu położenie zewnętrzne, radził mu unikać rozbicia (prawdopodobnie Langiewicz i bez rady p. Koźmiana wolałby nie być rozbitym) i umocnił go w stanowczem zachowaniu się wobec Mierosławskiego. Prócz tego miał p. Koźmian zdać sprawę *Hotelowi Lambert* z wrażenia, jakie na nim wywrze Langiewicz i ze stanu jego obozu. Dziwnie wygląda ten Hotel Lambert, powierzający badać stan obozu niewojskowemu.

Pojechał więc p. Koźmian do Gossery razem z ks. Eustachym Sanguszką, który *zamierzał* ofiarować Langiewiczowi wierzchowca (czy ofiarował niewiadomo — może się rozmyślił). Obóz nie podobał się p. Koźmianowi: jedynie oddział żuawów Rochebruna znalazł niejakie jego uznanie. Langiewicz słuchał p. Koźmiana „z uwagą i uprzejmie". Mierosławskiego obiecał. w razie gdyby się pokazał, rozstrzelać. Był pewnym zwycięstwa, sądził, że oczyści za parę dni krakowskie z moskali. Uwagi p. Koźmiana co do unikania stanowczej rozprawy nie podzielał. Nie poparł p. Koźmiana i Władysław Bentkowski „który znał teoretycznie a także nieco praktycznie prawdziwą wojnę", przy Langiewiczu zaś pełnił obwiązki szefa sztabu. Zapewne, że p. Koźmian miał słuszność, ale przecież, jeżeli rzeczywiście tak radził. dziwnie wyglądałby ów dyktator. dowódzca wojskowy, przyjmujący rady p. Koźmiana co do działań wojennych. Taka to była i ta dyktatura, którą chciano rządzić z Paryża za pośrednictwem pana Koźmiana.

Czy jednak p. Koźmian nie myli się co do treści swej rozmowy z Langiewiczem, czy nie zawodzi go pamięć. której wogóle trudno wymagać po tylu latach? Langiewicz z rozmowy tej wydaje się pyszałkiem, a przecież sam pan Koźmian podnosi jego skromność. Trudno doprawdy uwierzyć, aby z garstką swoją myślał on oczyścić krakowskie z przemagających sił nieprzyjaciela, z sił do tego regularnych i posiadających armaty. Gdyby tak sądził pierwszy lepszy powstaniec, który ledwo prochu powąchał i niemiał wyobrażenia o sztuce wojskowej, byłoby to usprawiedliwionem. Ale wszakże Langiewicz, człowiek dojrzały, odbył szkołę wojskową, był poprzednio porucznikiem wojsk regularnych i cieszył się wysokiem uznaniem Garibaldiego jako jego żołnierz, był wreszcie profesorem artyleryi w Cuneo.

Mamy nawet na to dokument, że pamięć zawodzi p. Koźmiana, a co najmniej, że możemy z czystem sumieniem wyrazić wątpliwość co do autentyczności szczegółów jego z Langiewiczem rozmowy. Dokumentem tym jest list Langiewicza przytoczony przez J. Nep. Janowskiego.*) Oto z niego wyjątki:

„Nigdy nie przyszło mi na myśl sięgać po najwyższą władzę. Jak wszędzie tak i w Gossery zajęty byłem uzbrajaniem, ubieraniem i wyżywieniem obozu i rozszerzeniem powstania narodowego. Wtem nagle przybyły do mego obozu osoby, z którymi nigdym nie miał stosunków. które miały dobrą w kraju reputacyą i inne, o których przynajmniej nic złego nie wiedziałem." Przedstawiały one Langiewiczowi konieczność dyktatury z różnyyh powodów. Dwa z nich uznał Langiewicz za trafne: „potrzebę usunięcia szkodliwych wichrzeń krakowskich", a mianowicie Mierosławskiego i potrzebę nadania Rządowi narodowemu formy widomej. Langiewicz nie chciał uledz naleganiom, ale w końcu uległ. „Czułem i wiedziałem — pisze dalej — że jak cała moja służba krajowa tak i przyjęcie dyktatury było z mej strony ofiarą. *Wiedziałem bowiem i publicznie to wypowiedziałem, że Moskwa takie siły zgromadzi, tak często obóz dyktatoryalny będzie atakować, iż go musi zniszczyć.* Wiedziałem, że mój tak zaprawiony w boju hufiec, tak mozolnie zebrany i utrzymany, tak zbratany zemną biedą i bojami, *prowadzę na niezawodną zagładę* i że moją reputacyę wojskową skompromituję..."

Jakże odmiennie wyglądają zapatrywania Langiewicza w jego liście od tego, co nam p. Koźmian do wierzenia podaje. Langiewicz robił ofiarę dla owej niepraktycznej idei widomego rządu, o który tak chodziło konserwatystom. który pokutował wciąż u p. Koźmiana. Nietylko nie był pewnym zwycięztwa, ale czuł, że prowadzi swój hufiec na zagładę,

Wobec dwóch wprost przeciwnych sobie świadectw, któremu wierzyć? Owa pewność zwycięstwa — włożona w usta Langiewiczowi przez p. Koźmiana, uderza brakiem wszelkiego rozsądku. zakrawa na lekomyślność do niedarowania u człowieka obeznannego z rzemiosłem wojennem — zeznanie własne Langiewicza jest tak logiczne tak proste i naturalne, iż nie można przypuszczać, aby mógł myśleć inaczej. Co więcej, Langiewicz list swój pisał za świeżej pamięci — p. Koźmian odgrzebuje swe wspomnienia po 31 latach. Niech więc daruje, że więcej wierzymy Langiewiczowi.

*) Moja korespondencya z księciem Władysławem Czartoryskim. Paryż. 1864.

Złośliwy krytyk mógłby zauważyć, że pan Koźmian daje czytającym do zrozumienia: gdyby Langiewicz mnie słuchał, byłaby utrzymała się dyktatura, inny obrót przyjęłoby powstanie. Ale my nie chcemy być złośliwi, pewni, iż rozsądek p. Koźmiana nie pozwala mu wierzyć, aby w tych okolicznościach mogło czekać Langiewicza co innego, jak zniszczenie jego oddziału.

Raport p. Koźmiana z pobytu w obozie Langiewicza był pochlebny, co mu później zarzucano. Tłomaczy się tem, że go niezrozumiano, że on chwalił Langiewicza, a nie powstanie i oddziały zbrojne, „co do których nie miał nigdy najmniejszego złudzenia".

Upadek Langiewicza źle oddziałał na zagranicę i na cesarza Napoleona, a ustalił tajny rząd narodowy.

III.

Metternich bawił w Wiedniu. Donoszono ztamtąd, że miał dwugodzinną konferencyą z cesarzem. Napoleon przystawał na konferencyą ośmiu mocarstw kongresu wiedeńskiego z roku 1815, ale wolałby co do kwestyi polskiej zawrzeć osobny traktat między Anglią, Francyą i Austryą. W Wiedniu mniej ufano polityce francuzkiej, liczono więcej na Anglią. Austrya zresztą obawiała się, iż spadnie na nią cały ciężar wojny nietylko z Rosyą, lecz i z Prusami. Metternich miał pozostać do końca miesiąca, jednak już 23 marca powrócił do Paryża.

Galicya tymczasem stała się podstawą operacyjną powstania.

Paweł Popiel usłyszał w Paryżu to samo, co Wodzicki, a chociaż „jak każdy rozumny człowiek, ubolewał i potępiał powstanie", zachęcał do jego poparcia, chciał nawet, aby cała szlachta polska podpisała manifest, przystępując do walki z Rosyą (znów oryginalna byłaby konsekwencya!) Synowi swojemu pozwolił wstąpić w szeregi powstańcze.

P. Koźmian wysoko ceni Popiela, choć go nazywa „chwiejnym w zdaniu". Jeżeli więc on, „którego tylko o zbytnią wstrzemięźliwość można było oskarżać", wypowiadał takie zapatrywania, nic dziwnego, że musiały one wpłynąć i na *grono krakowskie.* Sprzeciwiało się ono wprawdzie myśli akcesu całej szlachty, ale zostało wciągnięte do utworzonej w Galicyi *orga-*

— Hy? — mruknął chłopak, przecierając oczy.

— Pietruś, *chodzi* tu..

Dwunastoletni pędrak zbliżył się do dziadka, który wskazywał na mnie palcem i mówił:

— Pietrek — widzisz go? — Sołdat...

— Ihy..

— Moskal.

— Ale moskal! Po polsku gada.

— Po polsku gada. podlec, a po moskiewsku myśli.

— Ij — stulcie gębę!

Stary wykrzywiał się zabawnie i chichotał.

— Pietruś. — twój ojciec w jakiem wojsku służył?

— Niby nie wiecie? — W moskiewskiem.

— A twój stryjek?

— No! w moskiewskiem.

— A dziadek, niby mój ojciec?

— Dziadek! To się pradziadek nazywa. Pradziadek w polskiem.

— A ty w polskiem będziesz służył?

— W polskiem.

— Chi, chi, chi... A i będziesz *żgał* moskalów!

— Będę!

— Jezusienku! Za co?

— A bo to ony tatusia nie zeprały *kijamy!*

— Chi, chi, chi...

— Nie boicie się uczyć malca takich rzeczy? — zapytałem. Wygada się przed złym człowiekiem i biedę wam na kark sprowadzi.

— Jabym się ta i bał, ale kiedy mi się już i nie chce strachem se głowy zaprzątać na starość. Jużciż ostrożność — pierwsza rzecz, ale ta i mój wnuczek nie kukułka. Wie on dobrze, co do kogo gadać — nie bójcie się.

Niedawno tu dostałem był *powiastkę,* żeby się natychmiast stawiać do naczelnika żandarmów. Słabowałem wtedy, po drogach topiele stały, bo to jakoś w wielkim tygodniu się trafiło. Nie poszedłem. Masz, myślę sobie, psubracie, interes, to przyjdź do mnie. Ja ta już stary, gnaty *me* bolą, osobliwie pod *wiesnę.*

A no i przyszło ich chyba z piętnastu. Bobrowali po skrzyniach, pod *dachamy,* dyle odrywali, jeden to aż do pieca chlebowego łeb wściubiał, gębę sobie zamorusał, a u mnie naręcze książek leżało w drewutni, między statkami. Tylko mi dymisję zabrały, com ją miał po ojcu. Pod Madalińskim był *sierżantem....* Miałby był oto Pietrek pamiątkę po mnie.

— Cóż to były za książki, że trzeba je było aż do drewutni chować? — zagadnąłem.

— Takie se ta książki. różne... To o tem to o owem. Drukarz się widać zdrzemnął, zapomniał, że trza stawiać „dozwoleno cenzuroju", — no, i przyszło je chować. Będę to robił ambaras panu naczelnikowi? A zkąd, a jak, a od kogo, a po co? „Jego białobrodzie" i tak ma z nami dosyć utrapienia — chi, chi...

— Możebyście radzi przeczytać teraz coś nowego?

— A ja ta zawsze rad. Leże w izbie, dzieci mi się porozłażą do roboty, to sobie i czytam, a wieczorem zejdą się do mnie ze wsi ciekawscy, to im znowu baję, co wiem.

— To ja tu, uważacie...

Poszeptaliśmy ze sobą kawałek czasu. Dziwny chłop, taki chłop — no — no! Ścisnąłem mu na pożegnanie rękę, jak najbliższemu przyjacielowi. Wtedy kiwnął jeszcze na mnie palcem i szepnął mi do ucha:

— Nie znacie wy tam w Wieprzowodach córki jednego urzędnika z powiatu, Zapaskiewicza? Jadwiga jej na imię.

— Znam — odrzekłem.

— Najlepiej, jak co, jej oddać. Więcej nie trzeba. Powiedzcie jej, że teraz jedna litera nie pójdzie i że Błażejowa w Drohiczynie. Więcej nic, tylko tyle: — teraz nie i Błażejowa w Drohiczynie. Ona ta już będzie wiedziała, co to znaczy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

nizacyi narodowej. Organizacya ta — pociesza się p. Koźmian — „zapobiegła bardziej szalonym i niebezpiecznym praktykom i eksperymentom“. Czy tak było, dowiemy się później, ale zaznaczymy tu znowu sprzeczność, w jaką p. Koźmian popada. Nie dawno twierdził, że ludzie rozsądni powinni „stać na uboczu wobec szalonych ruchów“, że jest „złudzeniem“ nadzieja, jakoby można przez zbliżenie się do nich „wpłynąć na nich i złe z nich wynikające ograniczyć“ — a tu przyznaje, że *organizacya* wraz *z gronem krakowskiem* ograniczała złe, bo „wielu szalonym eksperymentom zapobiegła“.

Po rozbiciu Langiewicza, cesarz Napoleon rzekł do Władysława Czartoryskiego: „już wszystko skończone, klęska zdaje się być stanowczą i trudno po niej cośkolwiek przedsięwziąć.“ Czartoryski przedstawił, że tak źle nie jest. „Jeżeli tak, to zobaczymy“ — była odpowiedź cesarza.

P. Koźmian w tym czasie, po uwięzieniu Leona Chrzanowskiego, objął prawie wyłącznie kierunek polityczny „Czasu“.

Miał się jako redaktor opierać na idei pomocy zewnętrznej, przedstawiać powstanie jako narodowe, wolne od znamion rewolucyjnych i demagogicznych i zwrócone wyłącznie przeciw Rosyi. Co do formy polecono mu szorstko i gwałtownie występować. Przyznaje sam, że „to wszystko na nic się nie przydało.“

Prócz tego p. Koźmian wziął udział w założeniu *Biura krakowskiego*, które miało zasilać zagraniczne dzienniki doniesieniami o powstaniu, „oczyszczać wypadki i Rząd narodowy z cech rewolucyjnych i demagogicznych“, a wystawiać w najgorszym świetle postępowanie rządu i władz rosyjskich. Przyznaje się, że powstały ztąd bitwy i potyczki... telegramowe.

Ociąganie się mocarstw przejmowało trwogą. Aby zatem dowiedzieć się o rzeczywistym stanie rzeczy, *grono krakowskie* wysłało do Paryża p. Koźmiana. Wygląda to dość dziwnie, boć jeżeli ks. Władysław Czartoryski, któremu stosunki dawały wstęp wszędzie, który, jak to widzieliśmy, osobiście stykał się z cesarzem Napoleonem i mówił z nim o sprawie polskiej, nie mógł niczego stanowczego się dowiedzieć, jeżeli i inni mieszkający w Paryżu wybitniejsi polacy (a między nimi ojciec autora, będący przyjacielem ministra Walewskiego) także nie mieli nic pewnego do zakomunikowania, to czego mógł się dowiedzieć, jakie tajniki miał odkryć, człowiek tak młody i niemający jeszcze żadnego stanowiska, jak pan Koźmian? Misya jego z góry miała wszelkie warunki niepowodzenia — to też się nie udała.

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Artystka Wielka Pani.

(W jednym z ostatnich N-rów paryzkiego „Gaulois“ felietonista tego pisma, piszący pod pseudonimem „Tout-Paris“, zamieszcza artykuł o Helenie Modrzejewskiej, (Modjeskiej) p. t. „Artystka wielka pani“. Sądzimy, że czytelnik „Przeglądu“ przeczyta z przyjemnością głos prasy paryzkiej o naszej sławnej rodaczce. Przytaczamy go więc w całości.)

Sława Ameryki, artystka tragiczna Modjeska, opuściła Paryż, gdzie parę dni przepędziła, a zawodowa niedyskrecya dziennikarzów nie zakłóciła jej spokoju. Co prawda, ukryła się ona dobrze w pewnym „hotelu“, którego drzwi uchylały się tylko dla bardzo małego grona przyjaciół.

Sławna w wielu częściach świata, tak w Ameryce, jak w Polsce i Australii, pani Modjeska nigdy nie dała się poznać publiczności paryzkiej. Może zdecyduje się na to kiedyś. Paryż bowiem zachował wobec wszystkich artystów stary swój urok uświęcającego zdobyte sławy. Nie śmie ona jednak grać po francuzku, choć zupełnie włada naszym językiem. Choćby Szekspira zagrała u nas nawet w oryginalnym tekście, siła jej talentu wymusiłaby nasz podziw. Zmusiła doń Sarceya, który widział ją w Londynie, a który nie odznacza się łaskawością dla zagranicznych artystów. Pamiętamy, jak surowo osądził panią Duze. Sarcey zarzucał Helenie Modjeskiej, że nadto jest dla jego smaku arystokratyczną.

Pani Modrzejewska tworzy z Sarą Bernhardt i panią Duze *trio* tragiczne, którem zajmuje się świat cały. Gdybyśmy żyli w czasach, gdy kwitły paralele, moglibyśmy bardzo zajmujące porównanie nakreślić między trzema temi wielkościami: Sara Bernhard przedstawiałaby wdzięk miłosny i liryczny; pani Modjeska, powab i majestat; pani Duze, namiętność gwałtowną i nieco pospolitą.

Osobistość ta, pani Modjeska, podwójnie jest arystokratyczną. Księżniczką jest tearalną, a wielką damą towarzyską. Nazwisko jej prawdziwe jest hr. Chłapowska, jedno z najstarszych nazwisk polskich.

Pani Modjeska obrała sobie Amerykę. W kraju jednak rozpoczęła karjerę.

Już w szóstym roku życia objawił się u niej instynkt dramatyczny. Zarzucała na siebie jakąś draperję, w rękę brała sztylet i deklamowała, gestykulowała, mierząc żelazem w pierś swą dziecięcą. Czy widziała gdzie wędrowną jaką trupę, grającą po wioskach starożytne sztuki? Nie. Instynkt teatralny poddawał jej dziecinne te dramatyczne fantazje.

To też młodociana wola artystki w zarodku pokonała wszelkie przeszkody i, młodziutka jeszcze, stała się sławną artystką w Polsce. Gdy Sara Bernhart grała po raz pierwszy w Warszawie, zatelegrafowała natychmiast radosną wiadomość o swem powodzeniu do Heleny Mod., uszczęśliwionej sukcesem współzawodniczki-przyjaciółki.

Helena Modjeska miała już ustaloną sławę w Polsce, gdy zapragnęła nauczyć się po angielsku, by grać Szekspira w oryginale. Dokonała tego w sześć miesięcy. Od tego czasu została przedstawicielką Szekspira *par excellence*.

Wcieliła kobiety szekspirowskie, najróżnorodniejsze, najbardziej niepodobne do siebie bohaterki, które stworzył kiedykolwiek umysł jednego poety, wcieliła je niemal wszystkie, jedne po drugich, od lady Macbeth, słodkiej Cordelji, aż do pięknej Imogenji. Bóg jeden wie, ile Szekspir, jak każdy wielki geniusz, wywołał komentarzy. Artystka tak głęboko wniknęła w dzieło poety, że intuicja jej brała niejednokrotnie górę nad uczonemi rozprawami i komentarzami.

Literacko wykształcona, wytwornem piórem zdobi *peplum* swe tragiczne. Ogłosiła kilka rozpraw w wielkich przeglądach amerykańskich. Przypominamy sobie, że czytaliśmy ongi w „Forum“ artykuł z jej podpisem, podnoszący alarm z powodu stanu sztuki dramatycznej w Ameryce. Wskazywała tam, między innemi, że dzienniki amerykańskie umieszczają w rubryce „Rozrywki“ ocenę przedstawienia „Juljusza Cezara“ obok sprawozdania z popisu małp uczonych.

Zeszłego roku przemawiała na kongresie kobiecym w Chicago, w imieniu kobiet polskich. I znalazła znów jako... jakże to powiedzieć? — jako *mówczyni* — swe zwykłe powodzenie.

Obecnie jedzie na sezon ten okazać na scenach Wiednia i Petersburga (?) królewską swą postawę i szlachetny swój talent. A Paryż? I Paryż doczeka się zapewne swej kolei, gdy artystka-wielka dama przestanie się go obawiać.

Tout Paris.

MAJAK.

Czy znajdzie?

W pewnych chwilach czujemy się zupełnie szczęśliwymi: Rozmaitym rozmaite okoliczności szczęście przynoszą — temu co platonicznie kocha, wystarcza widok ubóstwianej w oknie, temu, co materyalnie, iż ubóstwianej umarła ciocia i zapisała jej krocie, Lord Rosebery był szczęśliwy, gdy go wybrano na premiera, a koń jego wygrał „Derby“, król Milan, gdy dostał się z tronu do Mabilu i karta dlań wskazywała dziewiątkę — car był szczęśliwym — nie, mylę się, car nigdy nie był i nie będzie szczęśliwym. Lecz cóż mię obchodzą inni i wielcy i mali, głowacze i ci, co głowę dla proporcyi tylko noszą — rozważam, kiedym ja był szczęśliwym. Mówię tu o wielkiem, piorunującem szczęściu, o szczęściu, które jak niespodziana manna w pustyni się pokazuje, raduje serce, rozjaśnia oblicze, podnieca cię tak, że uściskasz stróżkę domową, kosooką i nie piękną.

Kilkanaście dni temu opływałem w takie szczęście. — Wlokę się przez ulice Warszawy, do redakcyi i wchodzę do niej z miną pewną, bo stawiłem się na minutę; woła mię mój naczelny. W czasie, gdy przebywałem krótką przestrzeń, która mię dzieli od mego naczelnego, nie myślę nic — zupełnie nic, chociaż czułe me ucho dostrzegło w intonacyi z którą naczelny me nazwisko wymawiał, coś niecodziennego. Brzmiała w głowie świąteczna nuta niedzielnego spokoju. Zazwyczaj stereotypowe „Panie Kalwicz, proszę“ — brzmiało sucho, urzędowo, chłodno — teraz z starej jego zużytej krtani wychodził głos miękki życzliwy. Stanąłem przed nim — patrzał na artykuł przezemnie napisany i mówił: Widzę mizerność pańską. — Zrazu nie umiałem osądzić, czy mizerność, jak raczył się wyrazić, widzi w mym artykule, który miał przed sobą, czy we mnie, na którego nie patrzył. „Postanowiłem panu dać urlop na sześć tygodni, ciągnął dalej — musisz wypocząć.“ Słup soli, w który zamieniła się żona Lota to żywe srebro w porównaniu z mem osłupieniem. Urlop bez prośby! — gdyby nie było wszystko we mnie życie na chwilę skrzepło, dostałbym po nagłem osłupieniu zawrotu głowy, a z pewnością cała redakcya z grubemi tomami roczników pisma i encyklopedyi, z poważnym redaktorem na stołku, byłaby wokoło mnie tańczyła szalonego oberka. Ocknąłem się. Najpierw bezgranicznego szczęścia chwila — a potem cierpki uśmiech ukazał mi się na ustach. — Urlop! — O słodkie brzmienie wtenczas, gdy jest za co wyjechać — ale ja — raczej kieszeń była próżna, a na miesięczną pensyjskę iluż to czekało? Przebiegłem w myśli rozpaczliwie całą litanią hebrejczyków, czyby który jeszcze nie pożyczył — wiedziałem, iż próżne byłyby me zabiegi. Czy Redaktor wiedział o stanie mych finansów? Stan ich opłakany starannie przed nim ukrywałem. Już chciałem o tem napomknąć, gdy redaktor dalej ciągnął: „300 rubli gratyfikacyi przeznaczyłem na ten cel dla pana“. Co tu zrobić z tym jasnowidzem? czy go uściskać, czy podnieść w górę i krzyknąć: niech żyje! Nie — nic z tego, kłaniałem się tylko, jak chińczyk w składzie herbaty i bełkotałem bezustannie: O panie Redaktorze! O panie naczelny Redaktorze! W tej chwili byłem zupełnie szczęśliwy. Starzec uśmiechnął się i ciągnął dalej. Do urlopu dodaję radę i warunek: najpierw pojedziesz pan do wód spokojnych, gdzie jak najmniej się kręci naszych kobietek — (i tę słabość znał) więc S. nad bałtykiem przeznaczam panu na pobyt, potem daję Panu jaknajdokładniejszy opis Ostendy i przesyłać ci będę ilustracye francuskie i angielskie typów sezonowych z Ostendy — morze pan będziesz miał na miejscu, zatem co tydzień będziesz mi przesyłał *oryginalne* korespondencye z Ostendy. Kolegom powiesz pan, iż wyjeżdżasz do Ostendy“. — Rozmowa nasza toczyła się przy zam-

Zola na indeksie.

Od paru miesięcy krążąca pogłoska, iż „Lourdes“, ostatnia powieść Emila Zoli, została rażona gromem watykańskim, stała się faktem dokonanym. Dnia 21 września nadeszła oficyalna wiadomość z Rzymu, iż „Lourdes“ jest na indeksie.

Kongregacya indeksu składa się z trzydziestu czterech członków, wybieranych wprost przez papieża pomiędzy kardynałami. Obecnym prefektem kongregacyi jest jezuita, kardynał Massella.

Kongregacya mianuje „doradców“ swoich, a raczej pomocników, pomiędzy duchowieństwem, obowiązkiem ich jest czuwanie nad pojawiającemi się książkami i notowanie tych, które uważają za szkodliwe z punktu zapatrywań kościoła katolickiego; uwagi swoje i podpadające im książki „doradcy“ przedstawiają kongregacyi, motywując przyczyny i wskazując, dlaczego dana praca zasługuje na klątwę.

Na mocy tych dokumentów, kardynałowie rozpatrują sprawę i jeżeli wydadzą sentencyę potwierdzającą, przedstawiają takową papieżowi, który podpisuje ją, lub też odmawia podpisu. Dekret, iż dana książka jest na indeksie, staje się prawomocnym dopiero po przyłożeniu pieczęci papiezkiej — i wtedy zostaje publikowany. Forma takiego dekretu brzmi niezmiennie: „Święta kongregacya indeksu odbyła swe posiedzenie... (data). Rozpatrywała (tytuł książki). Zabrania wszystkim czytać ją i przechowywać“.

Za podaniem stosownej prośby, usprawiedliwiającej jej przyczyny, kongregacya indeksu wydaje pozwolenie na czytanie dzieł zakazanych. Pozwolenia, dotyczące jednego, kilku, lub wszystkich dzieł zakazanych, rzadko kiedy bywają odmawiane, zwłaszcza, jeżeli podający prośby — są profesorowie świeccy lub duchowni.

Pomiędzy pisarzami, którzy zostali dotknięci świętą inkwizycyą księgozbiorów, spotykamy nazwiska:

Mahomet (tak. Mahomet, założyciel religii muzułmańskiej!), Machiavel. Dante, Rabelais, Pascal, Montaigne, Montesquieu, d'Alembert, Voltaire, Diderot, J. J. Rousseau, La Fontaine, Milton. Lamartine, Balzac, Béranger, Henryk Heine. Ed. Quinet, H. Taine, Sainte-Beuve, George-Sand, Eugeniusz Sue, Wiktor Hugo, Stendhal. Al. Dumas (ojciec), Al. Dumas (syn), E. Feydeau, Lamennais, H. Murger, Ernest Renan, Michelet. Flaubert. Kraszewski, Mickiewicz i w. w. innych.

Dziennik paryzki „Le Matin“, chcąc zapoznać swych czytelników z wrażeniami głośnego pisarza, uzyskał u Zoli „interview“ tegoż samego dnia, w którym nadeszła depesza z Rzymu. Oto są słowa znakomitego autora, które podajemy poniżej bez żadnych komentarzy, pozostawiając ich ocenę samym czytelnikom:

— „Przyznaję, że jestem nieco zdziwiony. Nie dalej jak wczoraj miałem wiadomość, iż kardynał Vanutelli, stojący niegdyś na czele kongregacyi indeksu, powiedział: „Święte oficium ma ważniejsze sprawy do załatwienia, niż zajmowanie się tą lichą powieścią, nie mającą nic wspólnego z literaturą“. Wiadomem mi również było, iż książka autora-francuza powinna być zadenuncyowana kongregacyi przez francuzkiego biskupa. Lecz prawda, iż mogę nie wiedzieć, o ile „Lourdes“ uległo podobnemu losowi... Ku wielkiemu bowiem mojemu zdziwieniu zauważyłem, iż powieść moja wywołuje oburzenie i gniew w świecie katolickim. W pierwszych chwilach pojawienia się „Lourdes“ w szpaltach dziennika „Gil Blas“, budziła ona pewne sympatye pomiędzy duchowieństwem, oddawano słuszność memu umiarkowaniu, lecz cóż począć. kiedy ci ludzie muszą być z zasady nietolerancyjnymi...

Z powodu „Lourdes“, otrzymałem mnóstwo listów obelżywych, a dzienniki religijne ogłaszają mnie codziennie za łotra, karmiącego się krwią sług bożych, których jestem prześladowcą! Zbieram te artykuły, gdyż są między niemi rzeczy ciekawe. W pismach moich przedstawiłem około tuzina księży. W książce „Faute de l'abbé Mouret“, religia odnosi tryumf nad miłością. W „Ziemi“ jest proboszcz, rozdający wszystko, co posiada, pomiędzy ubogich. Żaden z „moich księży“ nie jest skarykaturowany. Lecz oto doczekałem się, iż ksiądz Piotr, jedna z głównych postaci w „Lourdes“, rozgniewał nawet protestantów, chociaż zdaniem mojem jest on człowiekiem zacnym i rozumnym. Przysłano mi numer szwajcarskiego dziennika „Journal de Genève“, gdzie jestem posądzony o brak moralności, albowiem powinnością moją było skłonić księdza Piotra do zrzucenia sutanny!

A jednakże typ księdza Piotra jakże często napotykamy w życiu, iluż znałem jemu podobnych! Rzecz bowiem dziwna, lecz na wiele lat przed napisaniem „Lourdes“, cieszyłem się sympatyą wielu księży, którzy zwierzali mi się z zupełnem zaufaniem. Ileż posiadam listów, pisanych do mnie przez księży, będących w położeniu mojego bohatera! O tak, liczni bardzo księża są jemu podobni!

Rozpatrując bliżej całą tę sprawę, widzę, iż wywołane przezemnie oburzenie świata kościelnego nie pochodzi bynajmniej z powodu mojego braku wiary, gniew nie powstał również z powodu całości mojej powieści; przyczyną, której mi nigdy nie zapomną i nie przebaczą, jest odsłonięcie strony materyalnej przedsiębiorstwa w Lourdes; owych tajonych dramatów, mających miejsce w pierwszych czasach, tragicznej historyi proboszcza Peyramale, opisu zwalisk niedokończonego kościoła parafialnego, w którego podziemia deszcze spływają na grób proboszcza — a wszystko z winy ojców dzierżących Lourdes w posiadaniu, lecz wzbraniających się zapłacić 58,000 franków za dach, mający uratować mury od zagłady!... Gniewają się, gdyż im wyrzucam, iż zrobili śmietnisko z izdebki Bernadetty, z tej izdebki, z której wyszła i miała widzenia. Pokój Bernadetty, który pokazują w Lourdes, jest nie ten, przezemnie opisany: w tym pokazywanym pokoju, może nigdy ona nawet nie była, mieści on się bowiem w domku, danym później jej rodzicom...

Wszystkie te drobne tajemnice Lourdes, odsłonięte przezemnie w powieści, oto właściwa przyczyna ciskanych na mnie złorzeczeń!

Najmocniej żałuję, iż fanatyzm nie dozwala im na trzeźwość sądu: wtedy bowiem musieliby mi przyznać, iż opisałem, co widziałem na własne oczy, a myśl moją rzeczywistą temperowałem w wyrażeniach, niechcąc sprawiać przykrości szczerze pobożnym.

Niejednokrotnie już powiedziałem i z naciskiem jeszcze powtarzam, że zarząd przedsiębiorstwa w Lourdes nie posługuje się żadnemi sztuczkami. Wiekowy lekarz tamtejszy Bessarié, okazywał mi wiele życzliwości w czasie mojej bytności w Lourdes, podobno obecnie nienawidzi mnie z głębi serca, wdzięczny mu wszakże jestem, iż dzięki jego uprzejmości. zapoznałem się z funkcyonowaniem miejscowego biura, mającego kontrolować cudem odzyskane uzdrowienia. Z wielką ścisłością i uwagą biuro usuwa fałszywych chorych, udających powrót do zdrowia. Nie tajono przedemną nic, pokazano mi wszystko. Ojcowie groty nie nic mają do skrywania i szaleństwem byłoby twierdzić, iż przygotowują zachodzące cuda. Nie potrzebują tyle zachodu — wiara jest dostatecznym motorem!...

Temu, iż wiele osób odzyskuje zdrowie w Lourdes nikt nie zaprzecza. Zdarzają się tam wypadki tak zadziwiające, iż nikt i nic nie może ich dotychczas wyjaśnić logicznie. Mówiłem o tem z niejednym lekarzem, a między innymi Charcot tak mi powiedział: „Mało jeszcze wiemy i chociaż uważany jestem za wiele wiedzącego, znam wszakże mnóstwo objawów, których natury przeniknąć nie zdołałem i nie zdołam“. Tak Charcot, jak i wielu lekarzy oświadczyło

---

kniętych drzwiach. — „W końcu żądam, abyś pan napisał z wrażeń swych nowelkę, szkic, studyum — lecz utwór musi tchnąć świeżością morza, jego potęgą, tą tęsknotą, którą się czuje patrząc w nieskończoną dal — musi być poważnym, a zajmującym, trochę Weltszmerzu nie zaszkodzi, musi być w niem myśl głębsza — erotyzmu jak najmniej.“

— Ach dobrze! dobrze! panie redaktorze! będzie potęga, boleść, świeżość — rzekłem potrząsając i ściskając silnie dłoń starca.

— No! No! dobrze! już dobrze rzekł próbując wydostać rękę z mych szczęściem spotęgowanych młodych kleszczy.

— Jeżeli pan tak silnie wyrazi swe wrażenia w nowelce jak obecnie w uścisku mej ręki, to będzie w niej potęga, boleść i świeżość.

— Spostrzegłem się — puściłem dłoń redaktora i przeprosiłem stokrotnie za nieuwagę.

Od trzech tygodni jestem w spokojnem morskiem S. Co tydzień idzie oryginalna korespondencya z Ostendy do pisma. Był to szczęśliwy czas choć trochę monotonnie mi upływał — choć czegoś mi brakowało. Niemki nie miały dla mnie żadnego uroku. Redaktor poznał mię na wylot. Że też ani jedna tutaj nie zawitała — mówię o Warszawiankach. Gdyby chociaż ta jedyna jedna, co tak drwi nielitościwie ze mnie, tu była. Jakie są one okrutne, okrutniejsze jak kucharka hotelowa „Nordstrandu“, która nieomal codzień przesoli obiad tak, że potem, gdy się łyknie przy kąpieli morskiej fali, to zupełnie niedosolono smakuje. Czemuż one są tak okrutne? Przecież ja zawsze jak najczulsze dla nich okazuję serce. A jeszcze ona — ona to już wcielony djabełek, drażni, przyciąga, wabi, a potem wydrwi, wyszydzi, wyśmieje, — a na drugi dzień znowu bon camerade. Zresztą, co mi tam, ja wiem, że ją kocham jak... jak... tak jak nie można wcale wyrazić, lecz nigdy nie myślę o tem, by została mą żoną; pomiędzy nami jedna się piętrzy przeszkoda: posag stutysięczny. Ładnie by spojrzał na mnie papa, fabrykant, gdybym mu naprzykład powiedział, naturalnie we fraku i z szapoklakiem w ręku, aby wiedział, że nie na żarty mówię: — Panie, ja kocham pańską córkę. — Zpewnością zrobiłby lichy kalambur, bo stara się niemi celować, a niechcąc mię wystraszyć z domu, bo mię lubi, odpowiedziałby śmiejąc się: Ja także ją kocham. A gdybym dodał z mej strony: Kocham i pragnę ją mieć za żonę — to odrzekłby: Bardzo wierzę, że pragniesz, lecz jej nie dostaniesz!

Ale nie gniewaj się o to, chodź opowiem to wszystko mej żonie i córce. — Tak! wiem z góry, że wszystko w żart by obrócił. — Nie poszedłbym — nie! Uciekłbym na łeb, na szyję wprost do Wisły. To znoszę, że jej nie posiadam, lecz nie zniósłbym myśli, że jej nigdy nie posiędę. Więc ja jednak żywię jakąś w tej mierze nadzieję. Ależ skąd? — nigdy nie żywiłem, nie chcę żywić — nigdy nie myślałem, nie chcę o tych ostatecznościach myśleć. Żyjemy od lat kilku obok siebie: dobrze nam tak razem, bawimy się wyśmienicie, pokrupimy się czasem, lecz potem święta znowu zgoda. Czasami jedna myśl mię trapi, że ona wyjść może za kogo innego. Nie mam obawy, znam ją tak długo zawsze odrzucała wszelkie partye. Niedawno temu zapytałem się jej — bardzo nieśmiało — zbyt śmiały nie jestem wobec niej — dziwi mię to — bo pour lesautres jestem za śmiały, za co dostaję od niej reprymendę. — Czy ma zamiar wyjść za mąż? Widocznie musiało to pytanie niespodziane ją zaskoczyć. Bo po raz pierwszy widziałem pewne zakłopotanie na jej twarzyczce. Stałem się śmielszym, uchwyciłem jej rękę i wpatrując się w jej zawsze wesołe, figlarne bławaty-oczy, powtórzyłem pytanie. Patrzała na mnie długo, długo — zdaje mi się, że nigdy dotąd u niej tego wyrazu oczu niedostrzegłem. Zdawało mi się, że łono trochę silniej się podnosiło, zdawało mi się, że jej miękka, giętka rączka drżała w mojej, zdawało mi się, że wyczekuje czegoś więcej niż to, co usłyszała — lecz ja dałem zapytanie prawie bezmyślnie. Ha — gdybym wiedział, że mnie nie

mi, iż chętnie posyłają chorych do Lourdes, znanych im dokładnie pod względem fizycznym i moralnym, i okazuje się, że znaczna ich liczba wraca z pielgrzymki z odzyskanem zdrowiem... Niema lekarza, któryby zaprzeczył ważności wpływów moralnych na ustrój fizyczny. W powieści mojej zaznaczyłem tego rodzaju fakta.

Przeznaczeniem mojem jest wywoływanie niechęci i zawiści — i pogodziłem się z myślą, iż nawet dokoła śmiertelnego łoża mego uwijać się jeszcze będą złośliwi moi przeciwnicy, czy prześladowcy! Są to wprawdzie drobiazgi, na które mało zwracam uwagi. O wiele jest rzeczą ważniejszą, iż cały ten hałas, wywołany przez „Lourdes“, może mi utrudnić zbieranie dokumentów do przyszłej pracy p. t. „Rzym“. W tej nowej książce ksiądz Piotr będzie jedną z głównych postaci. Mogę nawet dodać, iż konkluzya charakteru tego księdza, znajduje się dopiero w trzeciej mojej powieści „Paryż“, to jest w ostatnim tomie rozpoczętej seryi. Zamierzam na czas jakiś zamieszkać w Rzymie i chciałbym uzyskać audyencyę u papieża. Teraz nie wiem, o ile zwiększą się trudności dla przeprowadzenia mego zamiaru. W każdym razie jednak nie omieszkam starać się o audyencyę. Dla czegóż papież miałby mi jej odmówić?.. Jestem katolikiem, zostałem ochrzcony, byłem u pierwszej komunii. Głowa kościoła nie powinna wzbraniać do siebie przystępu katolikom; głowie kościoła należy nawracać i przekonywać.

Pisząc „Lourdes“, dałem tylko dowód najzupełniejszej niezależności filozoficznych moich zapatrywań, starałem się przytem uszanować wszelkie szczere wierzenia“.

Pesymistyczna utopia.

(Maurice Spronck. L'an 330 de la République. Paris 1894.)

Kiedy umysły optymistyczne, duchy pełne wiary i zaufania w postęp i przyszłość ludzkości kreślą w śmiałych szkicach marzenia swoje o przyszłem społeczeństwie, plany urządzeń, mających zastąpić dzisiejsze, znajdują się zawsze ludzie hypohondrycznie usposobieni, którzy przeciwstawiają swoje pesymistyczne przewidywania i obawy tym radosnym planom i śmiałym nadziejom. Starają się oni wytknąć i uwydatnić plamy w barwnem świetle marzenia, wykazać niedogodności, wynikające z projektowanych instytucyi przyszłości, słowem odsłonić ciemne strony, które z konieczności towarzyszyć muszą jasnym, a które w ich oczach przybierają takie rozmiary, że całkowicie zasłaniają pierwsze. Każda niemal utopia dzisiejszej doby wywołuje natychmiast prawie jedną lub kilka przeciw-utopij. Tak plany socyalistyczne Bebla wywołały broszurę Richtera p. t. *Dokąd prowadzi socyalizm?* gdzie w najciemniejszych barwach przedstawione są ujemne strony i szkodliwe następstwa tych planów; znana i bardzo czytywana u nas książka Bellamyego p. t. *W roku 2000* wywołała szereg przeciwnych jej (między innemi Michaelisa *Rzut oka w przyszłość*) i t. d.

Dzieło, o którem mam zamiar mówić, nie jest wprost skierowane przeciwko jakiemukolwiekbądź optymistycznemu obrazowi przyszłości; jest ono raczej zbiorem pesymistycznych przewidywań, dotyczących tego, dokąd doprowadzić mogą niektóre z obecnych prądów świadomych, lub nieświadomych dążności postępu (jak n. p. rozwój potężny udoskonaleń technicznych i maszyneryi i t. p.) Jest ono przytem mniej obrazem niż opowiadaniem historycznem o wypadkach, stanowiących przeszłość z punktu widzenia wyobrażalnej daty, wystawionej na karcie tytułowej, a mające nam przedstawić smutną przyszłość, ku której podążamy.

Opowiadanie to zaczyna się od obrazka — opisania uroczystości wystawienia posągu pewnemu uczonemu, wynalazcy sztucznych pokarmów. Rzecz się dzieje w Orleanie w r. 315 Rzeczypospolitej czyli 2105 naszej ery. Aby oczyścić miejsce dla nowego pomnika, postanowiono zburzyć statuę Dziewicy Orleańskiej, jako wcielenie dawnych przesądów i zabobonów. Święto rozpoczyna się od przemówienia obywatelki Paule Bonin, która zarówno jak inni ludzie pracy intelektualnej owej epoki, tak jest ociężałą, że z trudnością podnosi się ze swego elektrycznego fotelu, na którym spędza prawie całe życie. Dla uczczenia dnia tego wpadnięto na pomysł odtworzenia w jednej z dzielnic obrazu zamierzchłej przeszłości barbarzyńskiej, t. j. naszych czasów, usunięto więc z tamtąd wszelkie udoskonalenia przyszłości, — oświetlenie elektryczne, wehikuły powietrzne, sztuczne pokarmy, a restytuowano (ku wielkiemu oburzeniu towarzystw, opiekujących się nad zwierzętami) zaprzężone końmi powozy, gazowe lampy i pokarm naturalny, zwierzęcy, którego zresztą z obrzydzeniem tylko dotknęli się ciekawi i smakosze z publiczności. — Obrazek nie grzeszy jak widzimy ani smakiem, ani pomysłowością, a już z niego widzieć można, że pesymizm autora nie jest skierowany oczywiście przeciw jakiejkolwiek określonej i jednościowej gromadzie dążeń reformatorskich; drażni go zarówno i szybki postęp techniki, który ma jakoby sprowadzić ociężałość i brak sprężystości w organizmach, i rozwój intelektualizmu, który ma prowadzić do zupełnej pogardy dla uczuciowej strony i braku poszanowania dla pamiątek (zburzenie posągu Joanny d'Arc), jak gdyby jedna z dążności koniecznie prowadziła do zanikn przeciwnej. W następującym rozdziale opowiada autor jak doszło społeczeństwo do owego stanu „niezależnych gmin“, w którym zastajemy Europę.

Punktem wyjścia przewrotu jest krwawa wojna europejska, wywołana przez kongres „towarzystwa pokoju i rozbrojenia“ z powodu Alzacyi i Loryngii; po niej szybko upadają dawne rządy monarchiczne, a narody uwolnione od ciężarów wojskowości i opodatkowania, dochodzą szybko i prawie bez wstrząśnienia do niezwykłych zdobyczy ekonomicznych i cywilizacyjnych. Wypróbowano wszystkie, zalecane przez rozmaite stronnictwa, środki polepszenia bytu ludu i wreszcie dzięki udoskonaleniom technicznym doszło do tego, że zaledwie kilka godzin pracy w tygodniu wymagało społeczeństwo od każdego z członków swoich: reszty dokonywały maszyny. W końcu i tę pracę zwalono na najętych robotników chińskich. Dalszym krokiem było rozdrobienie państw na gminy. Zamiast zniesionego wojska utrzymywano milicye, utworzone z najętych muzułmanów, ale i te były bezużyteczne,*) gdyż spokój i zgoda nie przestawały panować tak wewnątrz gmin jak i w stosunkach miedzy niemi. — Dalej idą „cienie obrazu“, a łatwo zrozumieć jak gęste będą te cienie. Pierwszym jest znudzenie życiem i częste samobójstwa, spowodowane przez nie; drugiem, zmniejszanie się szybkie ludności wynikające ztąd, że kobiety, nie chcąc znosić ciężarów odmiennego stanu, wolą się poddać operacyi (którą ułatwiają niezmierne udoskonalenia chirurgiczne), zwalniającej je na zawsze od podobnego niebezpieczeństwa, dalej idą nadużycia rozmaitych trucizn nerwowych alkoholicznych, opium i t. p. (tak jakby dziś właśnie alkoholizm nie był najpospolitszą plagą najmniej ucywilizowanych narodów), następnie przedstawiono już w przesadniej-

*) W tem miejscu, jak i w niektórych innych autor zapożycza się w przewidywania od Renana, który pisze w Dialogus philosophiques: „Tyrani pozytywiści, o ktorych mówimy, nie uważali by za rzecz zdrożną utrzymanie gdzieś w straconym kącie Azyi jądra baszkirów lub kałmyków, narzędzi posłusznych, wyzutych ze wstrętów moralnych, a gotowych na wszelkie okrucieństwa,“ tylko że nasz autor ironizuje, kiedy Renan w tych „milicyach“ widzi naprawdę organ wykonania „bezprzykładnej sprawiedliwości“.

---

wydrwi, możebym dodał coś więcej. Oprócz tego myśl o śmiejącym się papie zmroziła wemnie goretsze słowa. Pocóż zbliżać stanowczą chwilę? — Zdawalo mi się, że odrzekła głosem cichszym niż zwykle:

— Czemu się pan o to pyta?

Serce mi biło jak młotem — mam jej powiedzieć, że gdyby za kogo innego wyszła, to dla mnie świat przestaje być światem? Na co jakieś czarne obrazy malować, gdy niebezpieczeństwa jeszcze niema. — „Z prostej ciekawości zapytałem, gdyż wiem, że pani kończysz 21 lat; w tym wieku panny zazwyczaj pragną wyjść za mąż — a wiem, że pani odrzucasz wszystkich.“ — Cierpkim był w jej odpowiedzi głos.

— Nie wyjdę nigdy — nigdy za mąż. — Wy nie macie, serca — chcielibyście się bawić niem tylko — może byś pan także mię chciał trochę pobałamucić, rozkochać — a potem — wiem to, lecz nie uda się panu. Wyrwała rękę z mych rąk — i zaśmiała się znowu nerwowo. — Porwałem się z krzesła.

— O Pani! jak możesz mię tak posądzać, dla mnie uczucia takie...

— Są święte, dokończyła za mnie — wiem, wiem, mniej więcej to samo mówiłeś pan przedwczoraj Julce.

Słyszałam półuchem waszą rozmowę przy onegdajszym obiedzie. Bardzo gorąco wystawiałeś pan uroczej Julce teoryę miłości i sposób, w jaki ona się wytwarza z uczucia przyjaźni.

Co to? zazdrość? pomyślałem. Nie! to zwykła repremenda.

— Tak jest panno Klarciu, — odrzekłem, — mówiliśmy o tem...

— Najpierw proszę mię nie nazywać Klarcią — a potem powiem panu, że zaczynasz się robić jednostajnym. Przypominam sobie, że gdy zaczęłam występować w towarzystwach, tą samą kubek w kubek bawiłeś mię pan rozmową.

— Panno Klaro, jaką masz świetną pamięć! — lecz to była zupełnie rzecz inna... ja wtenczas...

— Nie, nie, mój panie, ta sama! mam ją zapisaną w pamiętniku.

— Pani masz ją zapisaną w pamiętniku? Daj mi pani pamiętnik swój do przeczytania.

Zaśmiała się. — Dam go panu, jeżeli mi pan wydasz spis swoich rozmów podzielonych na kategorye według wieku kobiet, z któremi je prowadzisz, i zastosowany do różnych obiadów, soirées, rautów, kolacyi, a nawet dodała z pewną pikanteryą — kolacyjek, na których bywasz.

Zdruzgotała mię, nie byłem bez winy.

— Zaczyna się chłosta — zawołałem. — Chłoszcz pani — chłoszcz — lecz się nie gniewaj.

— Bezkarnie pan nie ujdziesz. Napiszesz mi pan wierszyk, nie dla mnie—nie myśl pan — cenię pana jako towarzysza, mniej jako feljetonistę. Feljetony pańskie zaczynają być nudne. Wyczerpałeś się pan tak jak zapas rozmów przygodnych z podlotkami, pannami i t. d.

Powtarza słowa mego redaktora, pomyślałem, w duchu smutnie się uśmiechając.

Lecz jeszcze mniej cenię pana, ciągnęła dalej, jako poetę. rymujesz pan bez uczucia. Napiszesz więc pan wiersz, który przyobiecałam dać mej przyjaciółce, pod tytułem: Dla czego panna Klara nie wychodzi za mąż? Jeżeli się pan dobrze, mówiła z naciskiem, wywiążesz z zadania, przestanę się gniewać i nie wyśmieję pana ani razu. Zgoda?

— Zgoda. — Chciałem pocałować jej rączkę — lecz już mej sylfidy nie było w pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

szych barwach pieszczenie się ze zbrodniarzami, których traktują jako chorych, a chcąc, o ile możności, nie pozbawiać ich wolności, narażają ogół na ich zbrodnicze wybryki.

Nienaturalne jednak wygaśnięcie rasy wyższej skutkiem niechęci do macierzyństwa, ani też masowe samobójstwa nie kładą kresu tej smutnej sielance; przychodzą tu w pomoc „owi barbarzyńcy“, o których odzywa się już dekadentyzm dzisiejszy, że „byli zdolniejsi do opanowania cesarstwa (rzymskiego), niż patrycyusz do jego obrony.**) Muzułmanie, ktorzy już poprzednio opanowali całą Afrykę, teraz korzystają z pierwszej zaczepki, ażeby zająć zpoczątku Andaluzyą, a później całą Europę. Odzwyczajeni od militaryzmu mieszkańce jej, pozbawieni ducha, czynu i odwagi w obec śmierci pierzchają przed wojskiem fanatyków Islamu które przynosi wraz z sobą dawno już zapomniane w Europie choroby zakaźne; a maszyny piekielne***), na które liczono jako na środek brony i panowania nad „niższą rasą“ okazały.. się nieskutecznemi, gdyż tajemnicę ich posiedli owi barbarzyńcy od najemnej milicyi, — swoich współwyznawców. Sułtan marokański, dowódzca zwycięzkiego wojska nakłada ciężkie jarzmo niewoli, tak formując swoje żądania:

— Idźcie i bądźcie mi posłuszni! Uprawiajcie ziemię, która ma do was należeć. Znoście ubóstwo i cierpienie. Słuchajcie naczelników, którzy, rządzą wami. Używajcie radości życia i nie obawiajcie się śmierci. Przeznaczenie człowieka nie od niego zależy. A jeźli powiedziane jest, że zginiecie na polu bitwy, to raj znajduje się w cieniu szabel.

Dziś, dodaje autor, niestety! nic nie pozostało z tego, co uwieńczyło pracę wieków. Zdobywcy zdeptali najpiękniejsze dzieło mądrości ludzkiej. Moralność brutalna, uświęcona przez wiarę w Boga, zastąpiła delikatną tolerancyą naukową; zbrodniarze ulegają karom, i nie dbając o polepszenie dobrobytu ogółu, ludzie wykonywują prawo, któremu przypisuje się boskie pochodzenie, nie myśląc o zbadaniu jego podstaw racyonalnych; poddają się urzędnikom państwowym bez żadnej dyskusyi, szanują tylko cnoty: wiarę, cierpliwość, wstrzemięźliwość, odwagę — pełnią tylko obowiązki pospolite.

Szczęśliwi i dumni z siły swojej, nieświadomi swej nędzy, niezdolni zrozumieć cudownych subtelności ducha nowoczesnego, którym gardzą dla tego, szczycą się, iż zniszczyli Europę; urządzają się w niej, organizują i rozmnażają z płodnością niższych ras. A najbardziej inteligentny z nich nie jest wstanie powiedzieć z jakich pierwiastków składa się Syrinsz“. .

. . . .

Ileż tu rozmaitych myśli rzuconych bezładnie! Przesyt, wywołany osiągnięciem „celu“ cywilizacyi; doprowadzone do ostateczności chorobliwe osłabienie i brutalność pod pozorem wyrafinowania współczesnego dekadentyzmu: niebezpieczeństwo grożące ze strony ras niższych obok rozpieszczenia czysto pokojową cywilizacyą; ale nadewszystko pragnęlibyśmy zwrócić uwagę na dwie największe „plamy“ przyszłego społeczeństwa: próżniactwo i wyludnienie! Stoją one bowiem w rażącej sprzeczności z tem, co zwykle zarzucają wszystkim utopiom optymistycznym. Dwa główne i zasadnicze argumenta przeciwko możności polepszenia bytu dla wszykich są te: 1) że nie zdoła nigdy ludzkość wytworzyć tylu bogactw, ile potrzeba dla zapewnienia wszystkim dobrobytu należytego, nieprzeciążając nadmierną pracą; 2), że szybkie rozmnożenie ludności w tych warunkach sprowadziłoby klęskę niechybną. — Autor obawia się następstw wprost przeciwnych i w nich widzi klęskę, gdyby przyszłość poszła drogą zamierzoną przez socyalistów.

W. M. K.

**) Bourge. Essai de psychologie contemporaine T. I Str. 27—28.

***) Znowuż reminiscencya z Dialogów Renana.

Szkoła i wychowanie.

Wychowanie przedszkólne p. J. Strzemeską i M. Weryho.

Nazwisko p. Strzemeskiej jest mi nieznanem, p. Weryho należy do najbardziej zasłużonych na polu wychowania początkowego osób w naszym kraju, a zasługi jej polegają nietylko na tem, że stała na czele jednego z najlepszych zakładów freblowskich w Warszawie, a zawód swój umiejętnie i z prawdziwem traktowała zamiłowaniem, lecz że w swej wzorowej szkółce wykształciła liczny zastęp wychowawczyń drobnej dziatwy.

W roku ubiegłym rząd rosyjski zamknął jej zakład; przyczyny tego rozporządzenia przytaczano różne, w gruncie rzeczy jednak podobno lękano się jej zbyt rozległego wpływu, którego najzgubniejszym skutkiem miało być, iż bony „opolacza“. —

Z chwilą, gdy praktyka wychowawcza w szerszym zakresie stała się dla niej niemożliwą, p. Weryho postarała się zużytkować swe gruntowne wiadomości i nabyte doświadczenie, opracowywując podręcznik dla wychowawców, który tem więcej cenić można, że wskazówki w nim zawarte przeszły przez ważną próbę licznych samodzielnych doświadczeń autorki.

Wykład metody poprzedza życiorys Froebla, pisany w tonie, który świadczy o szczerem uwielbieniu autorek dla swego mistrza.

Może dla czytelników pożądanem byłoby trochę mniej zapału, trochę więcej krytycyzmu. Czytamy naprzykład o błędach, które Froebel popełniał, lecz tych błędów autorki nie rozbierają szczegółowo, wolą bowiem nad jego zasługami się zastanawiać. — Jedno jednakże nie wyklucza drugiego; im więcej zawdzięczamy człowiekowi — tym łatwiej wybaczamy mu jego pomyłki, a dla dokładnego zrozumienia danego systemu przyczynia się niezmiernie poznanie jego stron słabych równie jak jego zalet. Stanowi to pewne ostrzeżenie dla następców, gdy widzą w czem poprzednicy zbłądzili. — Żaden wynalazek z głowy swego twórcy nie wyszedł w kształcie doskonałym, każdy urabiał się i doskonalił stopniowo. Metoda freblowska, która była cennym pedagogicznym wynalazkiem, również doznała wielu ulepszeń, a zaznaczenie choć pobieżne stopni, przez które przechodziła, stanowiłoby dla wychowawczyń ważną w ich pracy wskazówkę, chroniłoby je od popadania w praktyce pedagogicznej w system, który doświadczenie ogółu jako niepożyteczny odrzuciło. — Zamiast jednak zastanawiać się zbyt długo nad tem, czego w książce niema, pożyteczniej będzie wspomnieć czytelnikom, zwłaszcza czytelniczkom, o tem, co w niej znaleźć mogą, a znaleźć mogą rzeczy tak cenne i pożyteczne, że bez wahania polecamy ją wszystkim matkom i wychowawczyniom drobnej dziatwy.

Jest więc z początku streszczenie poglądów Froebla na wychowanie wczesnego dzieciństwa, a w poglądach tych czytamy zdania, które chętnie jako złote myśli pedagogii wypisalibyśmy na czele wychowawczego katechizmu do użytku rodziców. Oto jedno z nich:

„Wychowanie powinno śledzić, chronić, przewodniczyć, nie zaś polecać, nie nakazywać, nie dogadzać samowoli własnej. Roślinom i zwierzętom pozostawia się czas niezbędny do normalnego ich wzrostu, czynimy zaś to z całkowitem przeświadczeniem, że każde z nich rozwinie się samo odpowiednio do tkwiącego w niem prawa, pozostawiamy je w spokoju, starając się najbardziej o usunięcie wpływów szkodliwych. Ale dla człowieka dojrzałego człowiek-dziecię, jest bryłą gliny, wosku, z której ma on, jak sądzi, prawo lepić, co mu się podoba,“

Widząc, iż wychowanie zamało się liczy z prawami natury, które rozwojem dziecka kierują, iż zamało uwzględnia indywidualność wychowańca i jego własne samokształcące popędy — usiłował Froebel podpatrzyć dzieci bawiące się swobodnie zabawkami własnego pomysłu, a obserwując ich naturę na tych spostrzeżeniach oprzeć metodę wychowawczą. Owe dary Froebla: kulki, piłki, sześciany, cegiełki, piasek, glina, patyczki, toć to zwykłe ulubione zabawki dobrze znane wszystkim dzieciom, których rodzice nie zasypują nadmiarem zabawek sztucznych i kunsztownych.

Wiemy dobrze, że przedmioty rozrywki dziecinnej im prostsze, im mniej skomplikowane, tem dłużej i trwalszej dostarczają uciechy.

Podsuwając dzieciom zabawki przez metodę Froebla polecane, pamiętajmy jednak, że nie są to okazy do jakiejś nauki poglądowej, nie ilustracye do mądrych, metodycznych wykładów, o których w epoce przedszkólnej nie powinno być mowy, lecz sposoby zajęcia i zabawienia dzieci. Nie traćmy z oczu zasady, bardzo słusznie przez autorki „Wychowania przedszkolnego“ podkreślanej, że póki dziecko znajduje sobie robotę, należy je pozostawić w spokoju. Dopiero gdy maleństwo samo zwróci się do swych wychowawców i nie wie, co robić ze swą samoistnością, wystąpić trzeba w roli czynnej. — Odrywanie dziecka od zabawy, która je interesuje dla wysnucia z niej czy jakiej moralnej nauki, czy pouczającego wykładu jest niepedagogicznem i nie prowadzi do celu. — Z objaśnień naszych dziecko nie korzysta, gdy przychodzą mu nie w porę, a więcej niż nauki z zewnątrz płynące kształcą je własne jego spostrzeżenia, których wśród samodzielnego zajęcia nabywa. Dzieci jednak lubią, gdy starsi bawią się z niemi, chętnie zadają im pytania, proszą o opowiadanie, o pokazywanie obrazków lub rysowanie różnych przedmiotów. Zabawiać dzieci nie jest rzeczą łatwą; aby w ich gust i potrzeby trafić, trzeba koniecznie postawić się na ich poziomie, śledzić stopień zainteresowania się tym lub owym przedmiotem, nie przeciągać zbyt długo zajęcia, które już nudzić zaczęło i umieć dostarczyć urozmaicenia dzieciom, których własne pomysły już się wyczerpały.

Starsi nie zawsze umieją sobie dać radę z tem dość trudnem zadaniem; umysł ich wielu ważnemi sprawami zaprzątnięty z trudnością wysila się na dostarczenie dzieciom odpowiednich dla nich wrażeń i zajęć. Dla tego ten książka, o której mowa, jest bardzo cenną skarbnicą rozrywek dla małych dzieci, bajeczek, opowiadań, gier, robótek łatwych i zabawnych i jako taka stanowi bardzo pożądany dla każdej rodziny nabytek. Posługując się nią należy jednak zawsze pamiętać, że nie chodzi tu o spożytkowanie jej systematyczne, o przejście z dziećmi jakiegoś wyznaczonego kursu, lecz o wtajemniczenie się w życie dziecka i uczestniczenie w niem, o umiejętność zabawienia go i zachęcenia do samodzielnej zabawy, o zajęcie — lecz nie o pouczanie.

Że wśród takiej zabawy niejedna pożyteczna wiadomość do umysłu dziecinnego wsiąknie, że ono samo nawet nabędzie pewnych pojęć o barwach, kształtach, liczbach, otaczających go przedmiotach, jest to korzyść wynikająca sama przez się z rozwoju umysłu dziecinnego, który tem normalniej i szybciej postępować będzie, im właściwszego dostarczymy mu pokarmu. Dla tej korzyści jednak nie należy z zabawy czynić wykładu, ani przeciążać dzieci definicyami i określeniami; udzielać im trzeba tyle tylko objaśnień ile one same zarządają i nie zabijać w nich tego, co właśnie Froebel najusilniej rozwijać zalecał t. j. samodzielności. Najlepsza metoda może być źle zastosowaną, najlepszy nawet podręcznik w rękach nieumiejętnych pedagogów może się stać dla uczni narzędziem tortury, dla tego też podniosłam te kilka ważnych w „Wychowaniu przedszkolnem“ punktów, gdyż tylko zrozumienie nie martwej litery, lecz ducha metody, wydobyć z niej może najcenniejsze dla wychowawców wskazówki.

I. Moszczeńsko.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA

16 października.

(Nieporządki wywołane przez władzę. — Otwarcie roku szkólnego w uniwersytecie Jagiellońskim. — Tajne stowarzyszenie terminatorów. — Płeć piękna a uniwersytet.)

Ni ztąd ni z owąd naszym władzom bezpieczeństwa publicznego przyszła ochota dać bezpłatne przedstawienie mniemanej energii na rynku krakowskim. Poczciwy Kraków, tak przerażająco ospały, iż statystyka liczy w nim pół miliona ziewnięć na godzinę, i tak lojalny, że na widok jednego policyanta przybiera słodką minę tysiąc rewolucyonistów, został po raz drugi uznany za gniazdo buntownicze, którego zamachy na porządek społeczny potrzeba stłumić przy pomocy piechoty i konnicy c. k. armii austro-węgierskiej.

Rzecz się tak miała:

Na niedzielę zapowiedziane zostało zgromadzenie ludowe w ujeżdżalni pod Kapucynami na którem robotnicy mieli postawić pytanie: „co się dzieje z naszem prawem wyborczem". Zabawka ta całkiem nieszkodliwa, bo wszelkie pytania w tym kierunku, a nawet uchwały nie mają żadnego praktycznego rezultatu. Jeżeli Rada państwa zechce uchwalić reformę wyborczą, polegającą na powszechnem głosowaniu, to powszechne głosowanie wejdzie w życie — nie zechce, to w życie ono nie wejdzie. Zgromadzenie krakowskie robotników nic tu nie poradzi i niczemu nie zapobiegnie. Jeżeli są tacy panowie, którym od czasu do czasu chce się wygadać, to na co psuć im tę przyjemność, zwłaszcza, że ustawy na wygadanie się pozwalają. Od tego jest komisarz, ażeby nie pozwalał mówić o tem, o czem mówić nie można. A jeżeli tłum zebrany będzie zachowywał się nieprzyzwoicie, jeżeliby się chciał dopuszczać jakich ekscesów, to siły policyjne są zupełnie wystarczające do zapobieżenia tym nadprogramowym punktom zebrania. Należy mieć tylko policyą w pogotowiu, a można nawet polecić jakiej kompanii wojska, ażeby ustawiła się w koszarach i była gotową przyjść w pomoc panom policyantom, jeżeli się nie będą czuli na siłe przyprowadzić do porządku zbyt wesołe, lub zbyt krzykliwe tłumy.

Tymczasem władze krakowskie policyjne i wojskowe postanowiły głośno dać znać światu, że istnieją i że w braku zajęcia same je sobie stwarzają. Od samego rana ustawiono na rynku parę kompanii wojska, a kiedy zgromadzenie się ukończyło, zamknęła policya ulice wiodące na rynek. Jak groźnem było niebezpieczeństwo najlepiej okazuje, iż kilkunastu policyantów zdołało wstrzymać część robotników, pragnącą się udać ulicą św. Anny na rynek. Jedyną katastrofą była jakaś cegła, która uderzyła jednego z tajnych ajentów policyi. Właściwie wszystko na tem się skończyło: robotnicy porozchodzili się, na rynek nie weszli. Ale przecie trzeba zrobić coś z tem wojskiem i z tą policyą, stojącemi bezczynnie na rynku! A więc nie wiem kto wpadł na dowcipny pomysł rozganiania ludzi na rynku zebranych. W dzień świąteczny zawsze jest ich sporo, a w ubiegłą niedzielę było ich jeszcze więcej, bo każdy przystawał i patrzył co to będzie, na co te przygotowania? Robotników nie było, byli sami spacerujący, sami widzowie zapowiedzianej a dotychczas nieodegranej komedyi. Co gorsza, nawet rozejść się nie mogli, bo ulice zamknięto, a tłum, wychodzący z kościoła Maryackiego powiększył naturalnie liczbę zgromadzonych na rynku. Raptem zaczęto wszystkich rozganiać. Po trotuarach i po bruku latały gromadki wojska i oddziały policyjne, rozpychając publiczność. Tu i owdzie ktoś się obruszył na taką zabawkę, a więc go aresztowano. W innych miejscach goniona publiczność zbiła się w gromadkę, a więc gorliwsi dowódcy tych ruchliwych oddziałów pozwolili podkomendnym użyć kolb dla stłumienia nieistniejącego buntu. Jakiś podporucznik nawet szablą płazował kogo mu się udało. Takie szarże, napady na spokojnych obywateli i kobiety trwały przez całą godzinę. W końcu, kiedy już rynek oczyszczono, o godzinie 2 po południu przemaszerowało po nim wolnym stępem kilka szwadronów kawaleryi, która zapewne wielce się dziwiła, po co jej na spacer o porze obiadowej wyjeżdżać kazano.

Oburzenie w mieście jest niesłychane. A toż gdzieindziej, nie w takiem spokojnem mieście jak Kraków, podobne prowokowanie doprowadziłoby do bardzo smutnych rezultatów. Oburzenie udzieliło się nawet tak ciężkiemu ciału jak Rada miejska. Kilkunastu radców wystosowało pismo do prezydenta, aby zwołał nadzwyczajne posiedzenie Rady, „wobec wypadków dnia dzisiejszego i wskutek zachowania się władz bezpieczeństwa publicznego wobec obywateli miasta". Żądanie to podpisali radcy *ze wszystkich obozów*. Posiedzenie odbyło się wczoraj (w poniedziałek) i powzięto na nim uchwałę, aby prezydent udał się do kierowników władz z prośbą o zapobieganie podobnym wypadkom i o ukaranie winnych podwładnych. Znalazło się jednak pismo, które nie miało ani słowa oburzenia dla inicyatorów tej smutnej awantury, a sam fakt przedstawiło w taki sposób, iż wydaje się, jakoby autorem artykułu był jeden z tych panów policyantów, co się najwięcej w niedzielę odznaczyli. Redakcya „Czasu" gwałtownie domaga się, aby ją przeniesiono „w stały stan spoczynku".

Uroczyste otwarcie roku szkólnego w uniwersytecie Jagiellońskim odbyło się dnia 9 b. m. poprzedzone nabożeństwem w kościele św. Anny. Wzięli w nim udział oprócz profesorów i młodzieży liczni dostojnicy; publiczność również dość licznie się zebrała.

Prof. dr. Zoll jako rektor w roku ubiegłym złożył sprawozdanie z działalności Uniwersytetu tak za swojego rektorstwa jak i za rektorstwa obecnego ministra oświaty, Madejskiego, pod którego przewodnictwem rozpoczęto ubiegły rok szkolny. Temu właśnie faktowi powołania b. rektora na kierownika oświaty w państwie poświęcił dr. Zoll wstęp swego przemówienia. Byłoby jednak dowodem wielkiej niewdzięczności, gdyby Uniwersytet radośnie witając na wysokim urzędzie swojego rektora, zapomniał o tym, co przed nim stał przez długie lata na czele ministerstwa oświaty. To też senat akademicki wdzięczny b. ministrowi Gautschowi za liczne dowody z jego strony popierania wszechnicy Jagiellońskiej, uchwalił wręczyć mu adres z podziękowaniem. Po zapewnieniu z strony mówcy, że chociaż trzy razy już piastował godność rektorską, dalszą pracę dla Uniwersytetu będzie sobie poczytywał za najwyższy i najwznioślejszy cel życia, przedstawił dr. Zoll prace naukowe, dokonane w roku ubiegłym przez profesorów i docentów Uniwersytetu. Liczba profesorów i docentów doszła do 92, a wraz z asystentami i nauczycielami 131. Uczniów w pierwszem półroczu było 1363, w drugiem 1211. Promocyi odbyło się 166; najwięcej na wydziale lekarskim, bo 88, najmniej na wydziale filozoficznym, bo tylko jedna. W końcu zwrócił się mówca do następcy swojego dr. Browicza, któremu wręczając oznaki godności rektorskiej, złożył życzenie, aby wśród działalności swojej nie spotkał się z zawodami i mógł przy ustąpieniu swem powiedzieć, że było wszystko „*semper felix, faustum fortunatumque*".

Po sprawozdaniu dr. Zolla nowy rektor złożył ustępującemu podziękowanie za trudy podejmowane w ciągu rektorstwa, za niestrudzoną gorliwość, z jaką chodził około spraw Uniwersytetu, strzegąc jego praw i dobra. Następnie podziękował dr. Browicz swoim kolegom za powołanie go na wysoką godność rektorską. Zapewniał, że będzie spełniał obowiązki według sił i możności, licząc na poparcie kolegów i „powolność" młodzieży. Nowy rok pod pomyślną rozpoczyna się wróżbą, gdyż u steru oświaty w monarchii znajduje się były profesor i rektor szkoły Jagiellońskiej. Warunki, w jakich się uniwersytet znajduje, są coraz korzystniejsze. Przybywają nowe katedry i nowe siły naukowe. Ważnem jest utworzenie katedry języka i literatury ruskiej, która daje sposobność młodzieży polskiej poznania języka i literatury bratniego narodu, tak ścisłemi węzłami z nami złączonego. Wydział lekarski stoi coraz świetniej. Budowa *Collegium medicum* zbliża się ku końcowi. Wydział krajowy poruczył prof. Pieniążkowi otworzenie oddziału laryngologicznego w szpitalu św. Łazarza; tenże Wydział powziął inicyatywę do utworzenia kliniki psychiatrycznej. Nowy rektor ma przeświadczenie, iż z końcem poczynającego się roku, będzie mógł zdać sprawę z nowych nabytków i prac uniwersytetu krakowskiego.

Po tem przemówieniu nastąpił wykład nowego rektora „o ochronnych własnościach organizmu wobec pasożytów chorobotwórczych" — na czem zakończyła się uroczystość otwarcia roku szkolnego.

Przed zwykłym trybunałem odbyła się przed kilku dniami rozprawa przeciw członkom tajnego stowarzyszenia. Proszę się nie przestraszać — sprzysiężenie to nie groziło podstawom społeczeństwa. Kilkunastu wyrostków, chłopców rzemieślniczych, przyszedłszy na podstawie doświadczenia życiowego do przekonanania, że „źle się dzieje", postanowiło zamienić się w trybunał, któryby karcił te wszystkie winy, na ktore nie znajduje się lekarstwa w paragrafach kodeksu. Dziwna rzecz, iż ostrzeżenia swe i wyroki wydawało owe tajne stowarzyszenie przeciw ludziom, których znać nie mogło i których ocena działalności nie leżała w zakresie jego intelektualnych zasobów. Smarkacze ci kilkunastoletni, nie umiejący jednego wyrazu napisać ortograficznie, obracający się w gronie swoich rówieśników, nie mający żadnej styczności ze sferami oświeconemi, znali się jednak niby na polityce, wiedzieli kto jest godny zasiadać w Radzie miejskiej, posiadali tajemnice redakcyjne i t. p. Rzecz prosta, że byli oni narzędziem jakiegoś nędznego indywiduum, lub kilku indywiduów, które dla swoich celów chciały zaprowadzić pewien rodzaj teroryzmu. Pojawiły się jakieś plakaty ostrzegające, jakieś manifesty do wyborców, poczem stowarzyszeni przeszli do czynów: napadli redaktora pisma ludowego za polemikę z ks. Stojałowskim i wybili szyby w drukarni „Czasu". Na tym ostatnim czynie została owa „omladina" krakowska schwytaną. Śledztwo nie wykryło kto był *spiritus movens*, lubo może nie tak trudno było dowiedzieć się o ukrytych kierownikach tego żakostwa. Oskarżeni przesiedziawszy się już kilka miesięcy w więzieniu śledczem, zostali skazani na areszt kilkotygodniowy. Pokutują za cudze winy, a ci, co zamiast nich odsiadywać karę powinni, może założą nowe stowarzyszenie „ku obronie ideałów i moralności publicznej".

Pomiędzypłcią piękną, pragnącą uczęszczać na uniwersytet krakowski, a zwłaszcza na wydział lekarski, panuje wielkie niezadowolenie. Kandydatki na doktorów medycyny wysłały deputacyą do p. ministra oświaty, który im miał oświadczyć, że lubo nie ma nic przeciwko uczęszczaniu kobiet na wykłady w charakterze gości, nie może jednak zgodzić się, aby były uczniami zwyczajnymi i otrzymywały stopnie akademickie, gdyż na to nie pozwalają ustawy, których zmieniać teraz nie ma powodu. W sprawie tej zabrał głos „Przegląd lekarski", który wątpi, aby pierwsza część oświadczenia p. ministra mogła doprowadzić do praktycznych rezultatów. Dopuszczenie kobiet, jako gości zależy jeszcze od wykładających. Do stopni naukowych zaś mogą być dopuszczani tylko mężczyźni, i to ci, co ukończyli gimnazyum klasyczne; gdyby więc nawet zniesiono przepis, dający do tych stopni wyłączne prawo mężczyznom, toby się musiało wymagać od kandydatek owego świadectwa dojrzałości z gimnazyum, krórego żadna nie posiada i posiadać nie może. Inaczej nie byłoby to równouprawnienie, ale nadanie kobietom szczególniejszych prerogatyw. Wprawdzie w Bośni dopuszczono kobiety do

praktyki lekarskiej, ale to jedynie ze względu na ludność mahometańską, która z powodów religijnych i zwyczajowych nie chce wzywać do kobiet mężczyzn-lekarzy. Takiem jest rozumowanie „Przeglądu lekarskiego.“

K. Bartoszewicz.

KRONIKA WIEDEŃSKA.

16 października.

(Sezon w pełni. — Zjazd przyrodniczy — Odczyty Behringa, Macha i Forela. — Mózg i dusza. — Zjazd socyalistów. — „N. F. Presse“ o książce Koźmiana. — Z Teatrów.)

Nareszcie doczekaliśmy się tutaj otwarcia „sezonu“! Jakby za powiewem różdżki czarodziejskiej znikło dukuczliwe „Stillleben“ kanikularne i zawrzało w naddunajskim grodzie ruchliwe życie publiczne, naukowe i artystyczne. Wiedeń zaludnił się uczestnikami zjazdów, „salony“ zapełniły się dziełami sztuki, teatra ściągają publiczność przedstawieniami nowych lub wznowieniami dawno już niegranych utworów scenicznych, a niebawem (bo już 16 października) rozpoczną się w wielkiej sali „Reichsrathu“ ożywione debaty parlamentarne, które ze względu na projekty nowych ustaw i zmian dotychczasowych przepisów, oraz na zachmurzony nieco widnokręg polityczny — zapowiadają się bardzo ciekawie i interesująco.

Pierwszą zapowiedzią tego ożywienia był odbyty tu w dniach 24—30 września zjazd przyrozników i lekarzy niemieckich, w którym — jak czytelnikom już wiadomo — wzięli udział profesorowie uniwersytetu lwowskiego. Najważniejszym owocem zjazdu jest ogłoszenie nowej zdobyczy sztuki lekarskiej, której doniosłość bez optymistycznej przesady już obecnie ogólne znalazła uznanie. Szczęśliwym wynalazcą nowego środka przeciw dyfteryi, dziesiątkującej przeważnie młode dzieci — jest lekarz halleński Dr. Behring,*) który na podstawie dotychczasowych rezultatów zastósowanego przezeń szczepienia surowicy leczniczej, („*Blut*“ albo „*Heilserum*“) doszedł do wniosku, iż śmiertelność obecna dzieci da się sprowadzić do 10 procent w stosunku do jej wielkości obecnej. „Posiadamy obecnie — to są jego słowa — niezawodny środek, za pomocą którego możemy dyfteryę tak samo uczynić nieszkodliwą, jak uczyniliśmy ospę przez zastósowanie metody szczepienia“. — Wnioski znakomitego lekarza poparł prof. Ehrlich, wykazując, iż wskutek leczenia środkiem Behringa uzyskano już nadspodziewanie świetne rezultaty. Na 89 wypadków dyfteryi było śmiertelnych 12, zaś na 84 wypadków 7, czyli śmiertelność zmalała do 8 procent. Z tego odliczyć należy 4 wypadki, w których z powodu zupełnej degeneracyi pacyentów terapia była prawie niemożebna; w ten sposób na 79 chorych dzieci zaledwie u trojga środek Behringa okazał się bezskutecznym.

Wynalazek Behringa i uznanie wysokiej jego doniosłości przez zjazd lekarski wywołało oczywiście ogólną sensacyę nietylko w świecie naukowym. Nazajutrz po ogłoszeniu rezultatu obrad nieznany dotąd filantrop złożył w redakcyi „Neue Freie Presse“ sumę 20,000 koron na cele zużytkowania nowego wynalazku, a za tą hojną ofiarą posypały się pomniejsze datki obficie. Według informacyi tutejszych dzienników ma rząd wziąć w swoje ręce sprawę rozpowszechnienia Behringowskiej metody leczenia dyfteryi i zastosowanie jej w publicznych instytucyach leczniczych.

Oprócz powyższej zdobyczy pozostawił wspomniany zjazd trwały ślad w dwóch odczytach, będących poniekąd kwintesencyą nowoczesnych poglądów na zadanie nauki ścisłej.

Odczyt *E. Macha* (z Pragi) „o zasadzie porównawczej w fizyce“ dotknął podstawowych zasad nauki współczesnej i wywarł ogromne wrażenie. Opierając się na słynnem zdaniu Kirchhoffa („celem mechaniki jest zjawiska, występujące w przyrodzie, opisywać w sposób najszczegółowszy i najprostszy“), które swego czasu wywołało żywe protesty, a i w najnowszych czasach znajduje stanowszych przeciwników (Boltzmann), dochodzi Mach do wniosku, iż zadaniem fizyki jest przedewszystkiem przekazanie przyszłości materyału naukowego, opracowanego sumiennie, z którego do piero wówczas, gdy znikną liczne wątpliwości i na miejsce niewiadomej będzie można postawić zupełną jej wartość, da się wybudować gmach syntezy. Opozycya przeciwko postulatowi Kirchhoffa jest tylko wynikiem owej gorączkowej dążności do jaknajszybszych uogólnień, będącej znamienną cechą dzisiejszych uczonych. Uczeni dzisiejsi nie mają ani czasu, ani chęci do zastanawiania się nad potężnym procesem duchowym, któremu wiedza wzrost swój zawdzięcza. Inaczej zrozumieliby oni, iż w pojęciu „opisu“, stawianego przez Kirchhoffa nie leży wcale wykluczenie filozoficznej świadomości i poczucia ciągłości między skutkiem a przyczyną.

Nie mniej zajmujący przedmiot stanowiła treść odczytu Dr. A. Forela z Zurychu) który mówił „O mózgu i duszy“. Dwa są główne znamiona — mówi głośny uczony — cechujące wiedzę dzisiejszą, a mianowicie: 1. dążność do specyalizacyi w pojedyńczych jej gałęziach; 2. rozłam między wiedzą a religią. Objaw pierwszy jest wynikiem trudności nieprzezwyciężonych nieraz, jakie nastręcza chęć ogarnięcia całego obszaru wiedzy; to też — zdaniem mówcy — nie można żądać od uczonego, aby zarówno gruntownie znał wszystkie działy nauki; należy atoli wymagać od niego, aby przy studyowaniu pewnego ograniczonego obszaru nauki nie tracił z oka zdobyczy, dokonanych przez innych na innych polach i miał jasne pojęcie o stanie wiedzy ogólnej, słowem, aby uprawiał filozofią w starem słowa tego zrozumieniu, a nie zacieśniał swego widnokrągu umysłowego pracą fachową, która w końcu zejść musi w tych warunkach do roboty rzemieślniczej. — O wiele trudniej przedstawia się należyta ocena objawu drugiego. Faktem jest, iż wiedza i religia są wypływem jednej i tej samej dążności umysłu ludzkiego i dawniej stanowiły też całość zupełnie zgodną. „Z biegiem czasu atoli religia wskutek niezmienności dogmatów swoich i nieugiętego obstawania przy tradycyjnych wierzeniach i formach musiała się postarzeć“, wiedza zaś, zapominając, iż opiera się na częściowo zaledwie zbudowanym i zgłębionym fundamencie zbyt szybko porzuciła grunt filozoficzny i zasklepiła się w materyaliźmie mechanicznym. — Wskutek wpływów dogmatycznych i teoretycznych wysileń zmącono zupełnie pojęcia duszy i ducha. W historyi przedmiotowej „jaźni“ każdego człowieka są pojęcia duszy, ducha, świadomości, subjektywizmu pojęciami identycznemi, lub też łączą się i spływają z sobą częściowo. Zależą one u niego od zdolności „uświadomienia“ sobie pewnych wspomnień życiowych i łączności tychże z późniejszemi. Bez pamięci nie podobna jest sobie uzmysłowić ciągłości i związku (Zusammenhang) duszy, jako czegoś jednolitego (co już stwierdzono drogą doświadczeń hypnotycznych). Właściwą atoli treścią pojęcia „duszy“ jest **świadomość**, czyli umiejętność obserwowania siebie i odzwierciadlania w tej samoobserwacyi zjawisk świata zewnętrznego.“ Świadomość zaś ta jest wynikiem działania masy mózgowej. Gdybyśmy chcieli nadto wziąć jeszcze w rachubę nerwy — pojęcie „duszy“ rozszerzyłoby się jeszcze bardziej.

Mówca dochodzi w końcu do rezultatu, że „jak nie ma mózgu bez duszy, tak nie może być duszy bez mózgu“, podobnie jak nie można pomyśleć „siły bez materyi, lub materyi bez siły“. „Materyalizacya ducha“, „duchy bezcielesne“ — owe „odkrycia“ spirytystów są tylko utworami halucynacyi. — Rezultat powyższy zmusza do uznania jakiegoś jestestwa monistycznego, „rzeczy samej w sobie“ (Ding an sich), będącej zarazem: świadomością, materyą i siłą i dokonywującej zmiany ewolucyjne świata tj. przyrody organicznej i nieorganicznej. Dążność do zgłębienia tej najwyższej Istoty była cechą filozofii wszystkich czasów. „Idea“ Platona, „Substancya“ Spinozy, „Monada“ Leibnitza, „Wola“ Schopenhauera — są to wszystko próby niedoskonałe urzeczywistnienia tej dążności. Przyczyną ich niedoskonałości jest to, iż filozofowie ci uznawali dualizm w pojęciu duszy i materyi. Nauka współczesna stawia zasadę, że badanie zjawisk duszy należy do zakresu nauki przyrodniczej doświadczalnej i opisowej, jaką jest psychofizyologia. W ostatniej konsekwencyi schodzi się wiedza z religią znowu na wspólnym gruncie, a porozumienie się zobopólne może nastąpić przy wspólnych „nie istotnych“ ustępstwach.

Brak miejsca nie pozwala mi poświęcić dłuższych wzmianek odczytom innych uczonych, z których szczególniej zainteresowały publiczność inteligentną: odczyt dr. Migerki „O ochronie robotników przed wypadkami“ (*Unfallversicherung*), Dr. Riedla „O chorobach umysłowych w armii“ i Dr. Boltzmanna „O żegludze powietrznej“.

Z tegoż samego powodu odkładam bliższe uwagi o obradach drugiego ziazdu, który odbył się niemal bezpośrednio po tamtym, a mianowicie zjazdu członków stowarzyszenia dla badań społeczno-politycznych (*Verein für Sozialpolitik*), na którym poruszono kilka żywotnych spraw, i który szczególnego dla tutejszego dziennikarstwa nabrał znaczenia wskutek przemówienia ministra Plenera.

Z dziedziny dziennikarskiej nieobojętną dla czytelników „Przeglądu“ będzie wiadomość, iż znany organ liberałów niemieckich w Austryi „Neue Freie Presse“ zamieścił o książce Stan. Koźmiana „Rzecz o roku 1863“ dwa feljetony, poprzedzone sarkastycznym wstępem o „dojrzałości politycznej“ autora owej książki i jego koteryi. Feljetonista „Neue Fr. Presse“ streszczając broszurę p. Koźmiana, komentuje jego poglądy tak logicznie, że aż nasuwa się podejrzenie, iż chciał dopowiedzieć wszędzie to, czego p. Koźmian nie chciał, *czy nie śmiał* dodać od siebie.

Bądźcobądź artykuł „N. Fr. Presse“ kończy się pochlebną o p. Koźmianie i jego koteryi opinią, wyrażoną w zdaniu, iż „partya szlachecka w Galicyi od roku 1863 niczego nie zapomniała, ale też wiele się nauczyła. W szpaltach „koalicyjnego“ dziennika — komplement to... djablo dwuznaczny.

Z teatralnych sfer zanotować wypada, iż najnowsza „komedya“ H. Sudermanna „Walka motyli“ nie spełniła wielkich nadziei publiczności Burgteatru, mimo mistrzowskiej gry najlepszych artystów tutejszych. — W „Deutsches Volkstheater“ upadła komedya Léona i Walberga p. t. „Man sagt“; w Operze zimnego doznała przyjęcia opera Hummla p. t. „Mara“, grywana z powodzeniem — we Lwowie. Słowem, gdzie spojrzeć — trupy. Może następne *nowości* lepiej się ostaną. — Podobno ma w teatrze nadwornym wystąpić Modrzejewska w kilku wybitnych swoich rolach. Przypuścić należy, że wystąpi jako artystka *polska*, a nie angielska, za jaka ją podają dzienniki tutejsze.

Essi.

NA WYŁOMIE.

(Gdybym umilknął!... Krętactwa i fałsze... „Wielkopolanin“. Korespondencya „Gońca Wielk.“ Apel do Komitetu. „Kuryer“ jako filosemita.)

Donoszą mi z Torunia...

Nie! dosyć już tego Torunia, bo znudzą

---

*) Według paryzkich czasopism fachowych lwia część zasługi przypada drowi Roux, asystentowi instytutu Pasteura. Jego nazwisko też wymieniliśmy w artykule specyalnym sprawie tej poświęconym. Przyp. Red.

się czytelnikom moim toruńskie pierniki, a cóż dopiero toruńskie intrygi. Milczę więc, — to jest pragnąłbym milczeć, ale strach mnie ogarnia przed dziennikarskiem echem niemego feljetonu. Pomyślcie tylko! W poniedziałek wieczorem ukazuje się w „Dzienniku poznańskim“ artykuł takiej mniej więcej treści:

„Dawniejszy nasz współpracownik Sulla, który po porozczulającem pożegnaniu z bractwem ładu i porządku“, utonął w mętach wichrzycielstwa, „rejteruje“ w sprawie toruńskiej na całej linii. Stwierdzamy poważnie jak na poważny organ przystoi, jego milczący odwrót i porażkę, „nieprzetomniej“ wyrażamy radość serdeczną, że niesforne dzieci „przestały już rzucać kamieniami na żaby“. — Au!

To jedna żaba, a równocześnie odzywa się druga. „Kuryer Poznański“ tak pisze:

„Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, że grzesznik z „Przeglądu“ umilkł już pokornie. Maluczko a głowę popiołem posypie i pokutę czynić rozpocznie. A przecież bądźmy czujni i ostrożni, albowiem nie śpi duch ciemności i na pokuszenie wiedzie dusze polskie. Zapytujemy przyjaciół naszych, azali nie czas przypomnieć burzycielom gniew dekanatów drukowany w księgach „Kuryera“. I niechaj klątwa ich będzie jako miecz archanioła.“

A teraz mówi „Wielkopolanin“:

„Klęska wrogów Kościoła św.“

„Słuchajcie bracia kochani! Większy jest Pan Bóg niż pan Rymsza, bo sprawił dzisiaj, że spadła skóra barania z wilków przebranych. Oto ten, który osławionemu „Orędownikowi“ podał materyał do napisania 14 artykułów przeciw pobożnym mężom toruńsko-pelplińskim, zamknął swe usta niegodne i zawstydzony skrył oblicze swoje. Bracia kochani! Przegrały bitwę bezbożniki poznańskie, którzy za winy swoje w ogniu piekielnym smażyć się będą. A ktokolwiek z was dba o duszę swoją niechaj czytuje „Wielkopolanina“, bo święte są tylko te prawdy, które on wam do wierzenia podaje“.

Nie! Darujcie czytelnicy najmilsi. Chociażbym nawet toruńskiemi historyami miał was na śmierć zanudzić, nadto się lękam tryumfów najserdeczniejszych moich, abym mógł usta sznurować i milczeniem odpowiadać na krzyk „murowalący“, którym powitano ostatnią pogadankę moją. Wszystkie trzy organy ładu i porządku zagrały jakby na komendę już przed tygodniem dyszkantem i basem; „Przegląd“ mięknie, cofa się, dawniej mówił „Stało się“, a dzisiaj „*Podobno*“.

Przyzwyczaiłem się już do przekręcania feljetonów moich i dla tego nie rozczula mnie bynajmniej ten nowy łamaniec kołegów po piórze. Poczuwałem się do obowiązku porzucenia fałszywej zasady milczenia w chwili, gdy wieść, którą zapisałem na stronnicach „Przeglądu“ była już na ustach toruńskich obywateli, — w chwili, gdy powtarzano ją sobie na ulicach, w kawiarniach i domach prywatnych. Zapytałem o dowody i dostarczono mi takich wiadomości, że musiałem apelować do opinii publicznej i przywódzców zjazdu pelplińskiego o wyjaśnienie, a dziś energiczniej niż kiedykolwiek apel ten powtarzam. Bywają takie stosunki, że redaktorowi wszystkiego powiedzieć nie wolno, bo tam, gdzie dyplomacya pewnych koteryi jak kret unika światła dziennego, trzeba nieraz podziemnych sprężyn używać, aby wykraść słowo tajemnicy. Odsłaniając najważniejsze dowody musiałbym może odkryć źródła i drogi informacyi moich, a tem samem złamać kardynalny warunek dziennikarskiej uczciwości i skompromitować pismo, któremu zaufano. W czterech ścianach dyskretnej pracowni mojej złożono tyle materyałów do historyi toruńskiej polityki, że zbudowałem na nich bez wahania gmach oskarzenia, uznając nadzwyczajne prawdopodobieństwo charakterycznej informacyi o „*wichrzycielach, dotkniętych prądami socyalizmu, a psujących robotę polskiemu lojalizmowi.*“ Nie cofam niczego, a wobec twierdzeń „Dziennika“ i „Wielkopolanina“, że artykuł mój z dnia 15 października śpiewa pół tonu niżej od artykułu z 7 października, oświadczam kategorycznie, że jest to wymysł pośledniego gatunku. Miara „*stanowczości*“ w feljetonowych rewelacyach moich jest do tego stopnia identyczną, że w obu artykułach dotyczących kwestyi toruńskiej *jądro sprawy w równych nieomal wyrażone jest słowach.* Snać wielki „Dziennik“ i maleńki „Wielkopolanin“ liczą na krótką pamięć czytelników swoich, — ale jakiem mianem nazwać obrońcę, którego twierdzenia w puch rozbija jedno słowo prokuratora: „Oto dokumenty!“ Zręczny adwokat nie posunie się nigdy do kłamstwa, jeżeli kłamstwo to można natychmiast na podstawie akt, leżących na stole, sprostować.

Ale cóż? Bywają redakcye, które tak silnie zrosły się z zasadą „*Calomiez toujours*“, że najostrzejsze słowo krytyki i najenergiczniejsza odezwa do zdrowego rozsądku przebrzmi tam bez echa jak krzyk mowy na wodnych pustyniach oceanu. „Dziennik“ i „Wielkopolanin“ otrzymały w ostatnich tygodniach infuzyą krwi zdrowej i świeżej, — młode siły nie skostniałe w tradycyjnej ciasnocie poznańskiej, — zapominać jednak nie wolno, że rozmaici Mecenasi nakładają pęta adjutantom swoim, hamując dowcipnie wszelkie reformacyjne zakusy. I dalej snuje się wielka tragikomedya, a w „Wielkopolaninie“ przybiera ona nawet przestraszające rozmiary. Kto w najświeższym czasie rozczytywał się pilnie w tych legendowych opowiadaniach o poznańskich wrogach kościoła i religii, w tych karykaturalnych ilustracyach pism opozycyjnych, w tem sztucznem naginaniu faktów, ten nie zdziwi się bynajmniej, że i w obec nas zastosowano taktykę krętactwa. Trucizna ta weszła w krew „Wielkopolanina“ i chwilowo działa ożywczo, ale prędzej czy później zniszczyć musi organizm.

W toruńskiej sprawie te sztuczki prestigitatorskie, mogą się jedynie przyczynić do zabagnienia smutnej rewelacyi, o której wyjaśnienie w pierwszym rzędzie każdy z nas starać się powinien. Fałszowanie moich opinii w tym względzie i polityka strusia w obec doniesień innych dzienników rzuca charakterystyczne światło na maskowany ambaras tych wszystkich, którzy wiedzą dobrze, czyja ręka rozsiała ziarno, wyrastające w kłosy na toruńskiej ziemi. Przemilczano korespondencyą toruńską zamieszczoną w Nr. 238 „Gońca Wielkop.“, a przecież zawiera ona informacye nader ciekawe i stawia postulaty, którym każdy uczciwy i bezstronny organ przyklasnąć powinien. Oto co mówi toruński korespondent „Gońca“:

„Po Toruniu obiegają najrozmaitsze wersye, Jeden z wybitniejszych uczestników pelplińskiego zjazdu miał załamać ręce po cesarskiej mowie i zawołał:

„ktożby się mógł spodziewać, że nasza petycya pociągnie za sobą takie skutki.“

Niewtajemniczeni w arkana owej petycyi mogą sobie treść jej rozmaicie tłomaczyć.

Inne „on dit“ powiada, że znana osobistość toruńska chce wiec zwoływać, aby cisnąć w świat polski wyrazy oburzenia i zdemaskować autora lub autorów owej petycyi, która do Berlina wyjść miała . . . .

— Korespondent „Dziennika Poznańskiego“ z Torunia nazywa wszystko to bajką, jest jednak na dnie tych wszystkich opowiadań jądro złego, które się stara osłonić prasa, oddana na usługi ugodowej partyi powodzią rozmaitych frazesów, słów zbytecznych, świętem oburzeniem i tym podobnemi sztuczkami.

Czy tem złem jest jaka petycya, czy może tylko „niestósowne“ zażalenie u stóp majestatu na pana Gosslera, który odmówił pozwolenia na zjazd pelpliński, czy jeszcze może inny jaki nietakt, tego dociec nie mogłem na razie. Obowiązkiem jest Komitetu Zjazdu Pelplińskiego, aby ostatecznie zabrał głos w tej sprawie. Do uspokojenia umysłów przyczyniłoby się także bardzo opublikowanie zażalenia na p. Gosslera, oraz prośba o udzielenie pozwolenia na Zjazd.

Publikowanie wykazałoby jasno ewentualnie, czy w tem podaniu nie ma nic takiego, co Sulla Komitetowi zarzuca!

Jeżeli Komitet będzie się wzbraniał podanie owe publikować, to postępowanie jego utwierdzi niejednego w przypuszczeniu, że owe użalenie się nap. Gosslera było *powodem cesarskich informacyi i ostrych słów jego w Toruniu.*“

Oprócz dzienników polskich potwierdzających opinje moje, odezwały się w sprawie toruńskiej niektóre pisma niemieckie, a charakterystycznym jest mianowicie następujący komunikat berlińskiego „Tageblattu“:

„I do naszych uszu doszły dziwne pogłoski, wskazujące na męża zaufania polskiego stronnictwa dworskiego. Pan ten zwrócił uwagę w referacie przesłanym do Berlina na rzekome socyalistyczne prądy, które mianowicie ujawnić się miały w zachodnio pruskich, polskich towarzystwach śpiewu. Ponieważ wtajemniczeni nic we wiedzą o socyalistycznej propagandzie w ni tych związkach, zatem denuncyacyą odczuto tem głębiej jako cięcie wymierzone polskiemu stronnictwu ludowemu, że przyłączyło się do niej podejrzenie, jakoby cesarz groźne słowa swoje opierał jedynie na fundamencie powyższych doniesień.“

Znając psychologią tłumów, wiem bardzo dobrze, że słowa moje zrodzić musiały atmosferę podejrzeń, w której lęgą się najdziwaczniejsze i najpotworniejsze fantazye, ale z tej właśnie przyczyny zwracam się do komitetu zjazdu pelplińskiego, jako korporacyj, i do pojedyńczych członków jego, aby ogłosili publicznie treść urzędowej i prywatnej korespondencyi w sprawie kongresu śpiewaków. Jeżeli komitet nie uczyni tego dobrowolnie, w takim razie nie pozostanie toruńskim obywatelom nic innego jak zwołać wiec narodowy i na wiecu tym zażądać oficyalnego wyjaśnienia. Wiadomo mi wprawdzie, że jeden z najwybitniejszych obywateli, proklamujący jeszcze przed trzema tygodniami potrzebę „demaskowania“, dziś pod presyą ukrytych potęg w ciuciubabkę się bawi, a nawet pisuje artykuły o fałszywych alarmach, — sądzę jednak, że Toruń nie opiera się na jednym człowieku i znajdzie niezawodnie „rycerzy bez trwogi“.

Oczywiście wiec taki nie uzyska sankcyi „Kuryera Poznańskiego“ bo przecież dowiedzieliśmy się niedawno z ust tego proroka, że jedynie komitetom wyborczym przysługuje prawo zwoływania zebrań politycznych, Jest to takie podeptanie swobody obywatelskiej, taki średniowieczny absolutyzm, że istotnie w całej Europie, zwyjątkiem Rosyi i Turcyi, jeden „Kuryer Pozn.“ zdobyć się może na podobną maksymę. Nie jestem zwolennikiem antysemityzmu, ale nie przyznaję nikomu prawa zabraniać panu Knapowskiemu wiecowych zapasów z żydowszczyzną naszą. Wolno jednym gromadzić przyjaciół Israela a drugim wśród wrogów Judei sprawiać szyk wojenny. Jeżeli „Kuryerowi„ nie podoba się działanie pana Knapowskiego, to niechaj ogłosi z swej strony wiec filosemitów. Oczekuję zaproszenia.

Sulla.

Z teki aforyzmów

Jerzego Płońskiego.

W miłości temperament jest glebą, serce — ziarnem, a dusza — kwiatem.

—

Dwa są rodzaje kochania: kochać się w kimś i kochać kogoś. Większości kobiet wystarcza jedna lub druga miłość. Kobieta serca pragnie, aby ją kochano, kobieta imaginacyi lub temperamentu, aby się w niej kochano.

—

Kochać się w kim, to znaczy: kochać „bardzo“, „szalenie“, „nad życie“. Kochać kogoś znaczy: kochać „prawdziwie“; kochać kogoś i w kim i kochać...

—

Flirtujący jest jak matador w cyrku hiszpańskim, który śmiejąc się powiewa czerwoną chustą przed oczyma byka, z pod rogów jego wymykając zgrabnie, aby podrażniwszy go ustąpić miejsca zbrojnemu i odważnemu toreadorowi.

—

Optymistą zwiemy człowieka okłamującego się z wygody, lub z zasady; pesymistą mającego odwagę nazywać rzeczy właściwem mianem.

—

Cynik jest to człowiek znający cenę wszystkiego, a nie znający wartości niczego.

—

Mądrym jest, kto poznał drogocenną wartość głupoty.

KRONIKA LITERACKA.

Arcydzieła Szekspira w przekładzie Paszkowkowzkiego, Koźmiana i Kasprowicza, zeszyt 1—6, Lwów, nakładem księgarni polskiej.

Dziwne to doprawdy, że nikt aż do chwil ostatnich nie zajął się u nas popularnem wydaniem dzieł jednego z największych poetów ludzkości, który pomimo oddalenia wieków wyjątkowo do dziś dnia przez szerokie koła jest znanym, czytanym i słuchanym. Na jednego człowieka, który czyta Danta i nim się zajmuje, jest tysiące takich, którym Szekspir nie jest obcym. Wydawca więc taniego wydania jego dzieł z góry może liczyć na powodzenie. Do tej pory trzeba się było u nas zadawalniać jedynem wydaniem warszawskiej spółki księgarzy, które ceną swoją nie mogło być przystępne dla ogółu. Dobrze więc dla czytającego ogółu i dla siebie zrobiła firma lwowska, wypuszczając pierwsze tanie wydanie arcydzieł Szekspira. Składać się ono będzie ze znanych już tłomaczeń Stanisława Koźmiana i Józefa Paszkowskiego. Czego tamci nie przetłomaczyli dopełni swojem przekładem zdolny poeta Jan Kasprowicz, którego tłomaczenia poetów angielskich jak Byrona, Shelleya, odznaczają się wiernością i pięknością formy. W zeszytach dotychczas wyszłych pomieszczono Romea i Julię, Hamleta i Otella w tłomaczeniach Paszkowskiego. Wydawcy zapowiadają, iż dołączą przy końcu życiorys, ocenę i objaśnienie Szekspira, pióra dra Henryka Biegeleisena, który prócz tego napisze jeszcze drugie studyum o Szekspirze w literaturze i sztuce polskiej, a w niem oceni polskie jego przekłady, krytyki i przedstawienia sceniczne, oraz wpływ Szekspira na naszą literaturę. K. B.

* * *

Teodor Jeske Choiński. Bez wyboru, opowieści jakich wiele. Warszawa 1895, str. 317.

Zbiór rozpoczyna się „Romansem bez słów". Dwoje młodych ludzi kocha się, ale miłość to beznadziejna, bo każde z nich ma obowiązki, stojące im na przeszkodzie w zrealizowaniu pragnień. Przechodzą więc całą gamę uczucia, nie powiedziawszy o niem ani słowa. Rzecz to zgrabna i dobrze podpatrzona. W „Czytanej próbie" autor opisuje męki literata, który „popełnił" komedyę, nie spodziewając się, jakie go przejścia ciężkie czekają, zanim ujrzy ją na deskach teatralnych. Dużo w tym obrazku humoru i dobrej charakterystyki stosunków teatralnych. „Powracająca fala" jest najsłabszym utworem w zbiorku. Dowodzi w niej autor, iż każdy ojciec ma kłopot z dojrzewającym synem w chwili, gdy ten uczuwa żywsze bicie serca. Ale i ów ojciec sprawiał kłopot swojemu znowu ojcu, a na synu ponięci się znowu jego potomek. Wszystko to prawda, ale albo sama przez się nie ciekawa, albo nie wyzyskana dostatecznie przez autora. Za „Powracającą falą" według spisu rzeczy miał następować „Pogrom Rosenbergów", ale „Pogromu" tego ani śladu, a zamiast niego mamy luźne kartki „Z Rzymu", opowiadające nam o rzeczach dość znanych. Drugą połowę tomu wypełnia obszerna nowella „Z Miłości", znana już poprzednio z „Przeglądu literackiego" K. Bartoszewicza, a potem z osobnego wydania. Rzecz to napisana z talentem, z życiem i ze sporą dozą obserwacyi. W tej kartce z życia odnajdujemy wszystkie zalety pióra Choińskiego.

* * *

Klemens Junosza. „Monologi" Z illustracyami Fr. Kostrzewskiego — Warszawa. Nakładem Teodora Paprockiego i Sp. 1894.

Talent Klemensa Junoszy zbyt dobrze jest znanym czytelnikom naszym, abyśmy potrzebowali rozwodzić się nad nim szerzej, zaznaczamy tu zatem tylko, że „Monologi" — w których przemawiają przeważnie postacie ludowe, żydzi, chłopi i małomieszczanie — jak i poprzednie utwory Szaniawskiego dyszą humorem i werwą, jakiej w tym stopniu żaden z żyjących autorów polskich nie posiada. Dodamy tu jeszcze, że fraszki te doskonale się nadają do popisów estradowych.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Armia chińska i japońska stoją od tygodnia naprzeciw siebie w warownych obozach. Chińczycy zgromadzili 25,000 ludzi pod wodzą europejskich oficerów i zajmują pozycye nadzwyczaj silne. Japończyey czekają na przybycie ciężkich dział, których transport przez górzyste okolice jest niesłychanie utrudnionym. — Zdrowie cara rosyjskiego pogorszyło się do tego stopnia, że podróży na Korfu zaniechano. Lekarze nie rokują żadnej nadziei. — W sprawie protektoratu nad Madagaskarem postawiła Francya królowej wyspy ultimatum swoje, a w przewidywaniu, że warunki przyjęcia nie znajdą, zebrała tam znaczne siły wojskowe. — „Alldeutscher Bund" wysłał do cesarza niemieckiego telegram dziękczynny „za stanowczą zachętę udzieloną uciśnionej niemczyźnie na wschodnich kresach", a do ks. Bismarcka podziękowanie za wezwanie do walki „przeciw zuchwałości obcego narodu".

Zjazdy i kongresy. W środę 23 b. m. o godzinie $10^1/_2$ odbędzie się w Poznaniu na sali Bazarowej walne zebranie delegatów wraz z prowincyonalnym komitetem wyborczym na W. Ks. Poznańskie. Nareszcie! — W Paryżu odbył się kongres międzynarodowy socyologów. — W Berlinie odbył się zjazd psychiatrów niemieckich.

Wystawy. Wystawę lwowską zamknięto 16 b. m. — Na wystawie antwerpskiej otrzymali nagrodę między innymi: Wola Krzysztoporska w gubernii piotrkowskiej (wódki), hr. Tyszkiewicz (nasiona buraków), J. Wegner (wyroby ze skóry), E. J. Cybulski (okazy pedagogiczne, Szabelska (nafta), F. Puls (perfumy), J. Wróblewski (pierniki), J. Wysocki konfekcya damska, Br. Bernstein (wyroby bursztynowe), Jeske Choińska (puty).

Teatr i muzyka. Występy pani Zimajerowej w Poznaniu ściągają do teatru mało publiczności, cho ciaż gra artystki godna jest widzenia. — Najnowszy dramat Sudermanna „Walka motyli" ujrzał światło kinkietów w ubiegłą sobotę w berlińskim teatrze Lessinga. Premierę zakłóciła hałaśliwa walka zwolenników i wrogów autora. Krytyka niemiecka o utworze tym wyraża się chłodno, a znany publicysta Schlenther osądził wręcz ujemnie sztukę Sudermanna. — Warszawski teatr rozmaitości przygotowuje utwór Wiktoryna Sardou „Madame Sans-Gêne". — We Lwowie wystawiono po raz pierwszy komedyę Z. Przybylskiego p. t. „P r z y j a c i e l m ę ż a" i jednoaktówkę Ireny Mrozowickiej p. t. „W o t u m p a n a B o l e s ł a w a". — Wiktoryn Sardou napisał nową sztukę p. t. „L a d u c h e s s e d' A t h è n e s". — W szkole Lucci w Gmunden kształcą się dwie polskie śpiewaczki p. Felicya Bąkowska i p. Strzelecka. — Dowiadujemy się, że dyrekcya teatru poznańskiego pertraktuje z Heleną Modrzejewską o szereg gościnnych występów w mieście naszem. — W poniedziałek debiutowała na scenie poznańskiej w „B r o n i n i e w i e ś c i e j" z średniem powodzeniem p. Helena Zimajer, córka pani Adolfiny. Debintantka zaliczoną została do składu trupy miejscowej. — Do Berlina zjechała trupa teatralna chińska.

Doktorek posiada już Ameryka 2,011. Z tej liczby 131 poświęciło się homeopatyi, 70 chirurgii, 610 chorobom kobiecym, 70 psychiatryi, 65 ortopedyi, 40 okulistyce, 30 elektro-terapii, 14 chorobom uszu, 95 zaś jest docentkami w szkołach dla akuszerek, kolegiach medycznych i uniwersytetach. Reszta uprawia medycynę ogólną.

Na poniedziałkowem posiedzeniu Tow. Przyj. Nauk odczytał zasłużony zbieracz starych zabytków literatury polskiej p. dr. Erzepki nieznany utwór St. Wojciecha Chrościńskiego p. t. „L a m e n t u t r a p i o n e j o j c z y z n y p o z e r w a n e j k o n w o k a c y e j s u b t e m p u s i n t e r r e g n i i z w i ą z a n y c h w o j s k a c h k o r o n n y c h i W. X. L i t. n i e s z c z ę ś c i e s w o j e o p ł a k u j ą c e j". Jest to pięknym językiem napisany pamflet polityczny, skierowany przeciw niektórym kandydatom, starającym się po śmierci Jana III o tron polski. Na tem samem posiedzeniu odczytał poseł Dr. Mizerski własny utwór poetyczny p. t. „Przygoda żołnierza". Pomijając koniec nieco melodramatyczny odznacza się utwór ten potoczystym wierszem i piękną obrazowością. W końcu posiedzenia zwrócił p. prezes radzca Motty uwagę na rozmaite błędy językowe, pojawiające się stale w prasie poznańskiej i potocznej mowie.

Uwięzienie przeoryszy. Z Neapolu donoszą o uwięzieniu przeoryszy klasztoru św. Józefa i Teresy, nazwiskiem Marja Teresa Ferrante. Uwięzienie to wywołało ogromną sensację, tembardziej, że na rozkaz prezydenta ministrów Crispiego zamknięto ten klasztor. Od dziesięciu lat umieszczoną tam była dziewczyna Sylwia Palmieri, którą dla jej piękności nazywano „Mater dolorosa". Przed kilku dniami otrzymała matka dziewczęcia, list, w którym jej córka odkryła okropną tajemnicę. Na interwencję prokuratoryi uwolniono dziewczynę z klasztoru. Podała ona, że przeorysza często ją zmuszała chodzić do pewnego domu, gdzie ją eterem odurzano, a następnie nadużywano. Badanie lekarskie potwierdziło to. Zdaje się, że ojciec dziewczyny do spółki z przeoryszą sprzedał własne dziecko. Uwięziono także ojca i inną zakonnicę; kierownik sąsiedniego duchownego seminaryum, jako też znana rajfurka i jej kochanek podejrzywani są o współudział — uciekli jednak z Neapolu. O tem wszystkiem donosi „N. W. Tageblatt z dnia 2. bm.

Deutsches Adelsblatt polemizuje z znanym autorem Hansem Blumem o autentyczność szczegółów zawartych w książce jego pod p. t. „Fürst Bismark und das Deutsche Reich". Z sprostowań powyższego organu dowiadujemy się, że ekskanclerz niemiecki od sierpnia 1832 r. do czerwca 1833 r. pojedynkował się tylko 12 razy, — pan Blum natomiast twierdzi — że ks. Bismark w jednym dniu pokiereszował całą korporacyą „Brunświków". Dalej donosi „Adelsblatt", że ks. Bismark nigdy nie nosił przydomka „Achilleus der Unverwundbare" lecz w gronie studentów otrzymał miano „Barribal" i — „K a s z u b a".

Znany historyk i publicysta K Bartoszewicz zamieścił w „Kraju" obszerny artykuł o pracach pedagogicznych współpracowniczki naszej pani Izabelli Moszczeńskiej (Rzepeckiej) z którą polemizuje w sprawie rozprawy zamieszczonej w „Przeglądzie pedagogicznym". W polemice swojej przyznaje Bartoszewicz przeciwniczce swojej „jędrność", „dobry język" i głęboką wiarę w słuszność wypowiadanych poglądów. Artykuł kończy się w następujących słowach: „Po tej utarczce z p. Moszczeńską radzę przeczytać temu, kto może, szereg jej artykułów o szkole i wychowaniu drukujących się w „P r z e g l ą d z i e p o z n a ń s k i m". I tam nie na wszystko zgoda, ale całość dzielnie napisana i głęboko pomyślana".

Z m a r l i :

Zdzisław br. Tyszkiewicz, członek sejmu galicyjskiego i austryjackiej rady państwa, zm. w Wiedniu w 64 roku życia.

Fryderyk Kraus, malarz niemiecki, zm. w Berlinie.

Gustaw Levy, wybitny miedziorytnik francuzki, zm. w Paryżu.

BIBLIOGRAFJA.

Koźmian Stanisław. Ludwik Wodzicki. Życiorys. Kraków 1894. Cena 2 m.

Lenartowicz Teofil. Poezye Wydanie pośmiertne Biblioteka polska. Lwów. 1895. (Gubrynowicz i Schmidt 2 tomy. Cena 7 m.

Méyet Leopold. Liście. Fragmenty i szkice. Kraków. G. Gebethner i Spł. 1895. Cena 3,20 m.

Łopuszańska Marya. Na złotym szlaku, opowiadanie z ubiegłych wieków, Petersburg 1895. Cena 6.50.

Odpowiedzi Redakcyi.

Naake-Nakęski. Prosimy o bliższy adres. Pragniemy się porozumieć w sprawie wiadomej.

Cz. w Hamburgu. Wysłane wczoraj.

Marya. Za pseudonimem Or-Ot kryje się Artur Oppman. Domarat i Wojnicz, to identyczne osobistości.

Karolowi B. Brak sensu, stylu i ortografii nawet.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego". Czcionkami W. Simona w Poznaniu.